

PUSTY POKÓJ ERSKINE CALDWELL

PO raz pierwszy zobaczyłem ją w jakimś roku po ich ślubie. Pogrzeb się skończył, wszyscy się rozeszli i zostaliśmy w domu sami. Nie mogłem jej nie powiedzieć, a ona od poprzedniego ranka nie odezwała się ani razu. Pobrali się z Finleyem zaledwie kilkanaście miesięcy temu i teraz nie miała jeszcze dwudziestu lat. Ciało jej miało już kształty dziewczęce, lecz pozostawała nadal tylko dzieckiem.

Siedziała przy oknie do późnego wieczora, wyglądając w gęstniejący mrok, aż noc zapadła. Nie zapalałem światła, a ona od kilku godzin nie ruszyła się z krzesła. Z miejsca, gdzie siedziałem, mogłem widzieć jej ciemno zarysowany profil, nieruchomy na tle szarego wieczoru, jak hebanowa kamea. Wtedy to zrozumiałem, że może być piękno także w smutku.

Finley był moim jedynym bratem i zanim umarł, był także jedynym krewnym, który mi pozostał na świecie, a teraz ona była wdową po nim.

Nazywała się Thomasine, lecz jeszcze ani razu nie powiedziałem jej po imieniu; nie przyzwyczaiłem się do niego, a w rzadko używanym imieniu jest coś, co ochrania je przed bezmyślnym natręctwem człowieka obcego. Wiedziałem, że gdy przyjdzie czas, abym do niej przemówił, nazwę ją dźwiękiem, który będzie należał tylko do niej.

Byłem tu obcy i nie mówiliśmy jeszcze ze sobą. Finley był jej mężem a moim bratem i nie miałem pewności, jakie jest właściwie między nami pokrewieństwo. Wiedziałem jednak, że nie możemy pozostawać długo sami w tym domu bez wyjaśnienia jej i mojej sytuacji.

Panował chłodny półmrok i ciemny pokój był rozszerzającą się pustką, która się cofa w rozległą dal. Profil jej rysował się coraz łagodniej w miarę jak szary mrok roztopiał się w czerni nocy. Ściany się rozstąpiły, pokój zogniósł i był jakby miejscem pozbawionym granic. Na tle szarego zmroku jej profil gubił się we wzrastających ciemnościach w głębi domu.

Siedząc tu nie rozumiała w pełni swojej samotności. Jej głowa i ramiona pochyliły się pod otulającym je cieniem, lecz nie myślała wtedy nawet o własnym istnieniu. Finley zmarł tak niedawno.

Kiedy wstała, by odejść, wstałem i ja. Przechodząc przez pokój, zbliżyłem się do niej i stanąłem w odległości wyciągniętego ramienia, lecz przestrzeń między nami mogła być wyznaczona tylko miarą nieskończonego obszaru pokoju. Chciałem objąć ją i pocieszyć, jak pocieszylibym tę, którą bym kochał, lecz ona była wdową po Finleyu, a pokój ze swymi ścianami czynił każdą odległość zbyt wielką. Stąd, gdzie staliśmy, wydawał się rozległy i pusty, tonąc w ciemnościach swej niezgłębionej przestrzeni. Nawet iskierka z krzemienia oślepiłaby nas natężeniem światła, a jakikolwiek płomyk obróciłby nas w popioły.

Zanim przybyłem do tego domu, nie myślałem o dziewczynie, której na imię Thomasine, a teraz jest ona wdową po moim bracie.

Niektóre z kwiatów w pokoju stuliły się na noc, lecz płatki róż spadały delikatnie na podłogę.

Nagle szepnęła, zwracając się do mnie w ciemności:

— Czy nakarmiłeś króliki Finleya

— Tak, nakarmiłem — odpowiedziałem. — Najadły się do syta. Mają wszystko, czego im trzeba na noc.

Włosy jej opadły szeroką falą na ramiona. Były złote i dziwnie pasowały do ciemności pokoju i jej czarnej sukni. Kolor ich sprawiał, że smutek jej był jeszcze bardziej nieutulony, ponieważ to właśnie jej głowa schylona była głęboko w ciemnościach rozległego pokoju. Wpatrując się w atramentową czerń niewidzialnych ścian, mogłem niemal zobaczyć jej rozwichrzone włosy rozrzucone na piersi mego brata, gdy całował jej czysty profil i pieścił delikatne jej ciało. Piękno i bogactwo ich roku miłości ustępowały z wolna napierającym ciemnościom. Właśnie w mroku tego pustego pokoju mogłem uwierzyć w nieodwołalność śmierci i uwierzyć w smutek, który czułem w jej sercu. Młodzi kochankowie nie potrafili wierzyć w nieodwołalność śmierci, a ona już chyba najmniej z nich wszystkich. Chciałem jej powiedzieć wszystko, co o tym wiedziałem, lecz moje słowa byłyby tylko banalne. Jej miłość nie mogła mieć nic wspólnego ze śmiercią i ona nie chciałaby jej zrozumieć.

Wtedy właśnie zaczynała się noc.

Nie widziałem jej, lecz wyczułem, że odchodzi od okna, więc poszedłem za nią, dotykając nieznanymi sprzętów i kierując się w tej ciągle powtarzanej wędrówce wokół pokoju zapachem jej włosów.

Zatrzymała się nagle i zrozumiałem, że jestem w sypialni. Stałem w progu, świadomy tylko jednego kierunku wyznaczonego przez woń jej włosów. Gdy chodziła z kąta w kąt, ja stałem w drzwiach czekając, by przemówiła; czekając na jej jedno słowo, abym wyszedł i nie wracał do rana. Jeżeli chciała czegoś innego, albo jeśli nie było nic, co mogłem zrobić — ona nie powiedziała mi tego.

Samotny spacer z kąta w kąt i znowu z powrotem i martwy chłód jej łóżka odbijały się echem w pustym pokoju. Słyszałem, jak podchodzi do łóżka, dotyka go dłonią i znów wraca, po podłodze zasłanej dywanem, do okna. Stała przy nim wyglądając w nicość nocy, czarną nicość, podczas gdy ja czekałem, aż powie, abym zamknął drzwi i odszedł i zostawił ją samą.

Chociaż ona była w pokoju i ja stałem w progu, i króliki były zaraz tam, za oknem, pustka wokół nas zstępowała na dom jak cisza nocy bezgwiezdnej i bezksiężycowej. Wyciągając ręce sięgałem w nieznaną przestrzeń, a gdy spoj-

(Dokończenie na str. 2)

MOST

Nie wierzyłem
Stojąc nad brzegiem rzeki,
Która była szeroka i rwista,
Ze przejdę ten most,
Spleciony z cienie, kruchej trzciny
Powiązanej lękiem.
Szedłem lekko jak motyl
I ciężko jak słoń,
Szedłem pewnie jak tancerz
I chwlebnie jak ślepiec.
Nie wierzyłem, że przejdę ten most,
I gdy stoję już na drugim brzegu,
Nie wierzę, że go przeszedłem.

TAK jakos żyliśmy się z myślą, że Staff, który przetrwał ponure lata okupacji i w wyzwolonej Polsce zachwylił nas renesansem swej wiecznej młodej i ostatnio jakby unowocześnionej liryki, wciął jest z nami, że jego nagły zgon, zdawałoby się naturalny w tym wieku, jakby nas zaskoczył. A przecież przeżył o długie lata Micińskiego, Kasprowicza, Tetmajera i innych poetów Młodej Polski, on, ostatni jej filar.

Staff i młodopolszczyzna? I tak, i nie. Tak, jeśli idzie o czas startu poetyckiego, o symbolikę, nastrojowość i estetyzm wcześniejszych utworów, o powiązania przyjacielskie. Ale jednocześnie nie w nim z dekadentyzmu, ze schyłkowości, — prostota, żadnego drapowania się w toż, śmiałość obrazowania posługującego się nieraz rekwizytami „prozaicznymi”, klarowność i artystostwo ekspresji, nigdy nie skostniałej, doskonalącej się z każdą książką.

Dlatego właśnie stał się pomostem między modernizmem a młodą powojenną prozą, którą rozumiał i z której zdobył w swej drodze rozwojowej niejednokrotnie korzystał. Nie więc dziwnego, że był bliski nowatorom, że wielu z nich w zaraniu ich twórczości patronował. Z niego przecież wyszli i Tuwim, i Wierzyński, i tylu innych późniejszych poetów, a ilu wśród nich miał przyjaciół! Wynikało to z jego afirmującej życie postawy, z żarliwego umiłowania piękna, z mądrości jego spojrzenia na świat, w którym widział wiele zła, wierząc przecież w ostateczne zwycięstwo dobra. Uwydatniło się to zwłaszcza w niektórych humanistycznych wierszach pisanych czasu ostatniej wojny, kiedy mimo wszystko zachował wiarę w człowieka i jego odrodzenie i choć zbiorowi, w którym się one znalazły, dał tytuł „Martwa pogoda”, — ale przecież pogoda.

Największą niespodziankę sprawił nam jednak swą „Wikliną”. Ta pozorna prostota, jakże w gruncie rzeczy kunsztowna, to śmiałe czasem nawiązywanie mistrza do ucznia — Tuwima, a nawet do Jasnorzewskiej, ta lapidarność w obrazowaniu, to oblicze (w tym wieku!) zwrócone nie za siebie, ale naprzód, — wszystko to wprawiało w zdumienie.

Dziś nie ma go już między nami. A raczej wciąż nam jeszcze towarzyszy i towarzyszyć będzie uroda swych wierszy. I każdy prawdziwy poeta, biorąc pióro do ręki, będzie starał się pozostać wiernym mądrym i ludzkim słowom artis poeticae Leopolda Staffa:

„I niech wiersz, co ze strun się toczy,
Będzie przybrawszy rytm i dźwięki
Tak jasny jak spojrzenie w oczy
I prosty jak podanie ręki”.

(Dokończenie ze str. 1)

złałem, wydawało się, że moje oczy szukają światła we wszystkich zakątkach ciemnych niebios.

Wiedziała, że czekam w drzwiach na słowo, żebym odszedł, lecz była bezradna w swej samotności. Wiedziała, że nie może być sama w pokoju, gdzie nie widać dalekich ścian. Wiedziała, że jej osamotnienie nie da się odpędzić słowem, wyrzeczonym w pustej ciemności i rozumiała, że sama nie wyjdzie z niezmiernie próżni domu.

Mój brat pisał do mnie z uczuciem żalu, że nie kocham kogoś podobnego do niej. Przebywał tu przez rok, dzieląc z nią ten dom i to łóżko. Każdej nocy szli razem do tego pokoju, gdzie teraz gdyby nie ja, byłaby sama. Wtedy to odczułem samotność tej nocy, ponieważ zabrano jej Finleya, podczas gdy ja, który nigdy nie zaznałem takiej miłości, nigdy również nie mogłbym być obdarzony jej częścią.

Jeszcze raz podeszła do łóżka i dotknęła go. Pokój był ciemny i łóżko nieruchome. Wiedziała teraz, że musi być sama.

Zacząła płakać jak mała dziewczynka. Pantofle spadły z jej stóp, a echo odbiło dźwięk, jak odgłos zrzuconych na podłogę ciężkich i podkutych męskich butów.

Gdy dotknęła grzebień zrzuciła go w ciemnościach ze stołu, wydawało się, że to niezgrabne męskie ręce szukają czegoś po ciemku, siając spuszczenie wśród luster i zegarów.

Kolanami dotknęła krzesła, lecz dźwięk ten przypominał odgłos potknięcia mężczyzny idącego na ślepo przez pokój i klnącego ochryple półgłosem.

Suknię, którą zdjęła, złożyła na komodzie przy łóżku, a wydawało się, że to mężczyzna rzuca ciężką marynarkę i spodnie przez pokój w stronę krzesła.

Cicho otworzyła okno, a wydawało się, że to mężczyzna pchnął je, zniecierpliwiony czekaniem.

Usiadła na brzegu łóżka i położyła się, lecz wydawało się, że to mężczyzna padł na nie i szarpie koldrę.

Obróciła się lekko i przełożyła ramię przez poduszkę, co zabrzmiało w pustym pokoju, jakby ktoś wiał się, bijąc poduszki zaciśniętą dłonią.

Ciała jej drżało od szlochu wstrząsając sprężyny i materac łóżka, a było to jak rytm bezwzględnych ruchów męża, pełnych nieopanowanej siły.

Nie wiem jak długo stałem w progu, czekając na jedno jej słowo, abym poszedł. Z początku czas pędził w smolistej czerni ciemnego pokoju, a potem włókł się wolno. Mogło to trwać godzinę, mogło pięć.

Zdecydowałem się wtedy przemówić do niej. Echo moich słów zdawało się rozlegać bez końca.

— „Dobranoc, Thomasine” — rzekłem, drżąc. Krzyknęła ze strachu i bólu. Gdyby ją uderzono nożem w serce, nie krzyknęłaby głośniejsze. Potem wolno obróciła się w łóżku na drugą stronę.

— „Mój Boże, mój Boże, mój Boże!”
W ciemnościach poduszka, którą obejmowała, spadła z odległego końca łóżka na podłogę z trzaskiem, jak ścięte drzewo w głębi lasu.

Skończył się wieczór i zaczęła noc w pustym pokoju.

Przełożył ANDRZEJ ZGORZELSKI

PRZED witrynami księgarni ludzie przystają i podziwiają — Knut Hamsun, Henryk Ibsen, Albert Camus, Jean Paul Sartre, Jean Giraudoux, Françoise Sagan, Erskine Caldwell, Ernest Hemingway, John Steinbeck, Agata Christie... — Przeciwny konsument książki jest wprost oszołomiony. Bruno Jasiński, Anatol Stern, Witold Gombrowicz, Zbigniew Uniłowski... — Przeciwny klient księgarni jest zachwycony. A więc wszyscy ci autorzy mogą znaleźć się w jego bibliotece!... Wystarczy wejść do księgarni i zapłacić... E, nie! Okazuje się, że to nie jest takie proste. Czytelnik równocześnie może kupić i nie może... Paradoxy? Nie! — cena, wyższa o 40% — 50% od dawnej, a nadto błyskawiczne znikanie bestsellerów z półek księgarskich (a właściwie nie tyle z półek, co spod lady). Ale trzeba wiedzieć, że w okresie poprzednim książka w Polsce była najtańsza w porównaniu z cenami książek w trzynastu krajach socjalizmu, że nasz przemysł poligraficzny nastawiony był przede wszystkim właśnie na druk książki, gdy tymczasem na całym świecie podstawą rentowności produkcji w tej gałęzi przemysłu jest danie pierwszeństwa drukowi opakowań, że w tej chwili papier jest w naszym planie eksportowym artykułem ważniejszym od... węgla, że wydawanie dzieł autorów zachodnich kosztuje nas bająnskie sumy w dewizach. Przy okazji Ministerstwo podaje jako przykład, że samowolne zwiększenie nakładu „Witaj smutku” Sagan przez wydawnictwo „Iskry” położyło na obie łopatki plan dewizowy Centralnego Urzędu Wydawnictw, uniemożliwiając wydanie innych zamierzonych tytułów autorów zagranicznych.

OTO dlaczego przeciętny nabywca książki w Polsce może ją kupić, a równocześnie nie może. No, cóż, przeciętny nabywca jest biedny, znany doskonale jego budżet miesięczny. Ale siła nabywcy innych odbiorców również zmalała i to katastroficznie. Oto najważniejszy obok Warszawy rynek zbytu książki: Kraków — z biedą wykonał plan, a województwo koszański wykonało zaledwie 50% planu sprzedaży książki.

Coś tu jest nie w porządku. Czynniki urzędowe mówią: kryzys na rynku księgarskim — notujemy ogólne symptomy kryzysu w naszym organizmie gospodarczym, a wiadomo, że książka pierwsza wchodzi w orbitę kryzysu i ostatnia z niego wychodzi.

W magazynach Domu Książki spoczywają olbrzymie remanenty (przede wszystkim literatura drętwej mowy), które pójdą na przemiał. Dom Książki broniąc się przed dalszym mnożeniem nieużytków objął faktyczne władztwo na rynku wydawniczym. Dyktuje wydawnictwom, co i w jakim nakładzie mogą produkować. Jeśli bowiem którekolwiek wydawnictwo pozwoli sobie na produkcję tytułu nie zamówionego lub w nakładzie wyższym od ustalonego, będzie musiało zaliczyć taką pozycję w poczet własnych remanentów. A wydawnictwo nie może mieć remanentów. Toteż autorzy coraz częściej otrzymują od swoich wydawców listy, w których pisze się, że owszem, chętnie wydrukowalibyśmy, książka podoba nam się, niestety, Dom Książki nie chce włączyć tego tytułu do swojego planu sprzedaży. Rezultat? — pierwszeństwo druku zdobywa w tej chwili smirza, a niektóre pozycje, mogące liczyć na zbyt, nie ujrzą farby drukarskiej, bo nie umieszczono

W POŁOWIE maja br. odbyło się w Moskwie III Plenum Zarządu Związku Pisarzy ZSRR. Dyskusja, obfitująca w polemiczne starcia, toczyła się wokół referatu, przygotowanego przez Sekretariat Zarządu. Referat ten został uprzednio przekazany wszystkim uczestnikom plenum, którzy mogli szczegółowo z nim się zapoznać i przygotować do dyskusji.

A oto niektóre fragmenty referatu: „XX Zjazd partii zażądał od pisarzy jak najściślejszy wgląd z życiem. Podkreślając konieczność głębokiej znajomości życia, musimy zdecydowanie odrzucić powierzchowny podział literatury na „robotniczą”, „kolchozową” itd. Rozwój literatury radzieckiej wykazał w sposób przekonujący, że książka, która interesuje wszystkich, która ogniskuje w sobie ogólne, typowe cechy danego okresu historycznego, istotne rysy epoki — że taka książka odzwierciedla realny układ sił w naszym społeczeństwie, nowe stosunki między ludźmi w pracy i w życiu, niezależnie od tego, czy tematem jej jest kolchoz, czy zakład przemysłowy...”

„Jednym z najważniejszych zadań, wypływających z prac XX Zjazdu KPZR, jest stanowcze przezwyciężenie następstwa kultu osoby J. W. Stalina we wszystkich dziedzinach życia. Jako wielki rewolucjonista, wybitny budowniczy państwa radzieckiego, J. W. Stalin odegrał dużą rolę w dziedzinie ugruntowania socjalistycznej treści naszej literatury. Niemniej jednak negatywny wpływ kultu jednostki na rozwój literatury jest, zwłaszcza w latach powojennych, rzeczą niewątpliwą.

Jednakże byłoby błędem, gdybyśmy mówiąc o następstwach kultu jednostki, wyolbrzymiali przesadnie jego ujemny wpływ. Czyż kult jednostki wywarł wpływ na opublikowany w 1940 r. ostatni, szorstki tom „Zoranego oguru” M. Szolochowa? Czyż wartościowa przeplękana opowieść P. Bażowa zmniejszyła się wskutek tego, że ukazały się one w latach, w których istniał kult jednostki?”

W dalszym ciągu referatu mówi się o olbrzymim znaczeniu, jakie Lenin przywiązywał do literatury w pierwszych latach po rewolucji październikowej. Już wówczas — stwierdza referat — partia proklamowała swoje historyczne prawo do roli ideologicznego kierownika literackich sił klasy robotniczej, wytyczała z góry na całe dziesięciolecie podstawowe zasady partyjnego kierownictwa literaturą.

„Ta wycieczka w przeszłość jest szczególnie pożyteczna dzisiaj, kiedy po XX Zjeździe KPZR prawo partii do kierowania literaturą jest znowu zacieknie atakowane przez przedstawicieli reakcji i przez niektórych literatów Jugosławii, Węgier i Polski. Owocność historyczna ukształtowanych metod kierowania literaturą przez partię jest całkowicie jasna dla przytłaczającej większości pisarzy radzieckich. Jednakże w roku 1956 w prasie i na zebraniach zdarzały się pojedyncze wypowiedzi, w których poszczególni literaci wprost, a najczęściej pośrednio podawali w wątpliwość słuszność niektórych uchwał w sprawach literatury w latach powojennych. Do wypowiedzi takich należały publiczne wystąpienia Ołgi Bergholc i K. Simonowa, którzy żądali zrewidowania uchwał partii w sprawach ideologicznych, podjętych w latach 1946 — 1948”.

Z kolei referat zajmuje się szczegółową oceną twórczości literackiej po XX Zjeździe.

„W centrum uwagi literatury pozjazdowej znalazły się najbardziej palące problemy dalszego rozwoju społeczeństwa radzieckiego, jego marszu do komunizmu... Podejmowanie palących i aktualnych problemów doby współczesnej, dążenie do artystycznego uchwycenia życia w jego skomplikowanej i najistotniejszej treści jest najważniejszą cechą dzisiejszej literatury”.

Referat krytycznie omawia treść powieści W. Dudincewa „Nie samym chlebem” oraz treść kilku innych utworów stwierdzając, że autorzy tych prac zlekceważyli rolę pozytywnej siły społeczeństwa w sposób jednostronny, wypaczając perspektywy jego rozwoju.

Trudno ze względu na brak miejsca — szczegółowo omówić poszczególne tezy referatu. Warto jednak jeszcze nadmienić, że w końcowej części zajął się on osobno problemami realizmu socjalistycznego. Oto charakterystyczny cytat: „Chór głosów, rozlegający się przeciwko realizmowi socjalistycznemu, zawiera, oczywiście, różnorodne odcienie. Rozbrzmiewają tam głosy wrogie, zarówno obiektywnie jak subiektywnie, które socjalistyczną frazeologią maskują wezwania do przywrócenia burżuazyjnych stosunków w literaturze... Istnieją też głosy subiektywnie uczciwe, ale w ogólnym chórze obiektywnie odgrywające rolę mimowolnych popleczników reakcjonistów i restauratorów... Rzecz naturalna, że nie możemy pozostać obojętni wobec ataków na realizm soc-

jalistyczny, które już od roku wytrwale podejmują jego przeciwnicy — począwszy od Jana Kotta, Przybosa i Toepflitz w Polsce aż do Lukacza na Węgrzech i Mladenovica w Jugosławii”.

„Mimo wszystkich popełnionych przez nas błędów droga nasza pozostaje nowatorską drogą literatury, która związała swe losy z losami całego społeczeństwa”.

W dyskusji nad referatem zabierało głos wielu pisarzy. Oto niektóre charakterystyczniejsze wystąpienia:

L. Jakimienko: „Nasza literatura otwiera nowe drogi dla artystycznego poznania świata, dla odzwierciedlenia rzeczywistości. Dlaczego nie mówimy o tym? Dlaczego działa się tak, że wówczas, gdy opluwano radziecką literaturę, gdy starano się zburzyć metodę realizmu socjalistycznego, w czasopiśmie naszych nie ukazała się ani jedna właściwa odpowiedź na ataki krytyków realizmu socjalistycznego?”

E. N. Bukow: „Nie miałem mi się w głowie, że niektórzy pisarze od 40 lat oddychający powietrzem Października, mogli domagać się zaniechania partyjnego kierownictwa literaturą”.

A. Timonen: „Spory wokół powieści W. Dudincewa przyjęły formę jaskrawej walki ideologicznej, winniśmy myśleć o tym, komu i w czyje ręce dajemy broń w walce, jaka toczy się wokół spraw naszej rzeczywistości i naszego ustroju społecznego”.

K. Fiedin: „Jeśli chodzi o naszych przeciwników na zachodzie, myślę, że irtuje ich nie termin „realizm socjalistyczny”, ale istota sprawy. Nie podoba się im to, że my bronimy naszej radzieckiej rzeczywistości. W tym rzecz, że walka toczy się nie z literaturą... walka toczy się z całym naszym krajem, ze wszystkimi naszymi, socjalistycznymi narodami. Nasza literatura jest wyrazem radzieckiej kultury, jej nowatorstwa, jej rewolucyjnej istoty, która interesuje ludzi za granicą”.

C. Kulaczikow-Zilla: „Czy my, jako pisarze Związku Radzieckiego, którzy stworzyli najwspanialsze dzieła w światowej literaturze, nie powinniśmy być dumni z naszej przepięknej, potężnej, bogatej radzieckiej literatury? Czyż powinniśmy w milczeniu znieść ataki reakcji światowej?”

B. Polewoj: „Kampania, prowadzona przez burżuazyjną propagandę i zmierzająca do zniszczenia literatury radzieckiej, jest całkowicie zrozumiała, mniej jednak zrozumiałe są względy, dla

(Dokończenie na str. 10)

O DZIWNYCH LOSACH KSIĄŻKI W POLSCE

STEFAN WOLSKI

ich w planie przy ściśle ograniczonej puli cennego papieru.

Czechosłowacja znając bardzo dokładnie te nasze trudności na rynku wydawniczym i znakomicie orientując się w tym, co jest opłacalne w produkcji, na czym można zrobić dobry interes, zaproponowała nam ni mniej ni więcej tylko druk dzieł Henryka Sienkiewicza dla... emigracji polskiej. Nawiasem warto dodać, że ci sami nasi sąsiedzi zarabiają „kokosy” na druku specjalnego miniaturowego wydania „Koranu” dla muzułmanów.

A zatem można się już tylko dziwić, że nie otrzymaliśmy jeszcze skądś propozycji druku naszych książek szkolnych za granicą. Wiemy przecież, że np. dziesiąte klasy w roku szkolnym 1956/57 nie miały m. in. historii literatury okresu romantyzmu i wiemy, że na przemiał poszły już podręczniki szkolne wyprodukowane w grudniu 1956 r. i w styczniu 1957 r.

Niestety, u nas limit puli papieru jest — jak się rzekło — jak najściślej ustalony, a że dopiero uczymy się wchodzić na rynki zagraniczne z atrakcyjnym towarem księgarskim, więc na razie nie można oczekiwać rewelacyjnej zmiany stosunków, aczkolwiek pierwszy krok w zakresie eksportu polskiej książki już został uczyniony: otrzymaliśmy poważne zamówienia na Targach w Lipsku i w ZSRR na naszą książkę... sportową i turystyczną. No, dobre i to, wielu rzeczy musimy uczyć się od początku, nawet tego, że emigracja polska na ogół może wyglądać polskiej książce, na podobieństwo starego latarnika.

LE wróćmy do naszego przeciętnego nabywcy książek i do poppytu na książki. Czy kryzys księgarski wiąże się wyłącznie z siłą nabywczą szarego obywatela i z tym, że nie życzy on sobie smirzy (w przeciwieństwie, niestety, do młodzieży)? Dyrektor Balicki z CUW sugeruje, iż

społeczeństwo jest już nasycone książką. Dlatego spada krzywa wykonania planu sprzedaży w księgarstwie. Centralny Urząd Wydawniczy połączył plan wydawniczy na rok 1957 z planem na rok 1958, z tym, że w roku 1958 plan w stosunku do roku 1957 zostanie ograniczony o 40% (nie w ilości tytułów, lecz w nakładzie). Plan na rok bieżący jest już jakościowo lepszy, ale istnieje w dalszym ciągu olbrzymia rozpiętość między planem produkcji a planem sprzedaży książki. Księgarnie mogą zbyć niewiele ponad 50% produkcji.

A więc znowu zagadnienie finansowania remanentów przez państwo, mało — świadoma produkcja remanentów.

Gdzie jest wyjście z tego błędnego koła, którego powstanie jest nie do pomysłenia na rynkach zachodnio-europejskich? Na Zachodzie bowiem zamówienie na książkę daje rynek księgarski. Firmy wydawnicze badają opinie rynku, drogą bezpośrednią lub pośrednią subskrypcji, wydawca orientuje się, czy i w jakim nakładzie może wydać interesującą go książkę. I wydawca nie ma remanentów, tak samo jak nie ma remanentów księgarz. Obaj przecież, ażeby utrzymać się na rynku, muszą zarabiać. U nas dzieje się inaczej: zamówienie na książkę wychodzi od urzędnika księgarskiego, którego kryteria są zbyt często niezbadane, niczym wyroki „sil wyższych”. Skutki zna nie tylko przeciętny nabywca książki, który np. goni za „Perłą” Steinbecka jak za efemerydą, ale zna je najlepiej i najdotkliwiej skarb państwa finansujący remanenty.

Ale nie na tym koniec paradoksów. W ubiegłym roku usunięto z bibliotek 2 miliony tomów tzw. książek „zaczytanych” lub źle informujących (literatura drętwej mowy), do usunięcia przeznaczono dalsze 4 miliony książek. Słynne trójki społeczne w okresie przedpaź-

(Dokończenie na str. 12)

Program parodniowych odwiedzin królowej angielskiej w Paryżu został wyreżyserowany z istic francuskim wdziękiem i wcale republikańską rozrzutnością. Tło widowiska było imponujące: architektura i urzekająca, wiosenna zielen Paryża. Dzięki świetnemu gustowi i grubym milionom franków program wypadł naprawdę malowniczo, zwłaszcza wieczorny spacer Elżbiety II wzdłuż brzołów Sekwany, gdzie skomponowano żywy film na temat historii Francji.

Lecz choć w relacjach radiowych i prasowych prześcigano się w opisywaniu kolosalnych tłumów towarzyszących tym imprezom, daleko było do tego, co się działo na ulicach Paryża w lipcu 1938 r., gdy król angielski Jerzy z rodziną bawił w stolicy Francji (mam jakoś szczęście do spotykania brytyjskich monarchów w Paryżu). Tym razem wszystkie ważniejsze momenty wizyty były nadawane „żywym” przez telewizję. Dziewiętnaście lat temu w domach francuskich telewizorów jeszcze nie było. Nie można się dziwić, że dość znaczna grupa ludności wolała tym razem czatować na transmisje przy aparatach telewizyjnych, niż szukać znośnego miejsca w oknie mieszkania znajomych, na balkonie, murze, pomniku, lub na przyniesionym z domu krzeselku czy drabinie, których pełno było 9 kwietnia na wytwornych, wspaniale udekorowanych Polach Elizejskich.

Wprowadzenie niewielki ekran domowego telewizora nie może dostarczyć wrażeń, jakie daje bezpośrednie uczestniczenie w barwnym widowisku, jest wszakże faktem bezspornym, że telewizja zaczyna być groźnym konkurentem wszelkiego rodzaju imprez, a przede wszystkim teatrów, które w obecnej chwili przeżywają poważny kryzys finansowy (nie tylko zresztą we Francji). Składają się na to oczywiście różnorodne przyczyny, nie należy jednak lekceważyć wpływu telewizji na fakt, że paryskie sale teatralne świecą pustką, choć coraz więcej osób może korzystać z biletów po cenach niższych. Zdumiewającym wyjątkiem jest Théâtre National Populaire. Jego kolosalna widownia, mieszcząca około trzech tysięcy osób, zawsze jest wypełniona, a bilety trzeba kupować co najmniej tydzień naprzód. Scena w Pałacu Chaillot wysunęła się w ciągu ostatnich lat na miejsce czołowe w paryskim życiu teatralnym, które na początku lat pięćdziesiątych uległo istotnym zmianom.

W roku 1949, gdy po raz ostatni byłam w Paryżu, działał jeszcze w pełnym rozkwicie teatr Ludwika Jouvet, który występował w molierowskim „Don Juanie”, w „Ondynie” Giraudoux, w „Knocku” Jules Romaina. Każda premiera na tej scenie była głośnym wydarzeniem. Przed teatrem Athénée ustawiła się codziennie długie kolejki, podobnie zresztą jak przed teatrem Marigny, gdzie Jean-Louis Barrault dawał „Hamleta”, sztuki Camusa i Claudela, „Szelmostwa Skapena” w reżyserii Jouveta i w pastelowych dekoracjach Christiana Bérarda, dla którego ta praca była „lądowym śpiewem”. Na scenie Théâtre de Paris Karol Dullin grał główną rolę w „Archipelagu Lenoir” Armanda Salacrou, a Claudel był obecny na spóźnionej premierze swej sztuki „Podział Południa” w teatrze Barraulta. Występowała jeszcze Ludmila Pitójev, świetnie grająca rolę Joanny d’Arc, choć przekroczyła już sześćdziesiątkę (fakt godny przypomnienia wobec częstych u nas sporów na temat „realnego” wieku odtwórcy takiej czy innej roli).

W ciągu niewielu lat zniknęli wszyscy ci ludzie, którym teatr francuski w znacznym stopniu zawdzięczał trzydziestoletni okres wspaniałego rozkwitu. Nawet Barrault, należący do młodszego pokolenia, nie ma dziś w Paryżu stałej sceny. Odbывая długotrwałe tournée po różnych krajach Ameryki i Europy, odnosi imponujące triumfy, lecz chyba jeszcze za wcześnie żyje z procentów od kapitału zasług zdobytych w Paryżu. Jedynym bodaj kontynuatorem wielkiej „dynastii” twórców współczesnego teatru francuskiego, zapoczątkowanej przez Jakuba Copeau, jest dziś Jan Vilar, którego przed ośmiu laty widziałam w Studio des Champs Elysees. Grał wówczas znakomicie rolę Edgara w „Tańcu śmierci” Strindberga, wystawionym z okazji setnej rocznicy urodzin tego pisarza. Théâtre National Populaire nie miał w owym czasie wybitniejszej pozycji, a w okresie posiedzeń ONZ w Pałacu Chaillot jego zespół występował także na innych scenach, m. in. w teatrze Sary Bernhardt, gdzie byłam na słabym przedstawieniu „Zakładnika” Claudela.

Rozkwit Théâtre National Populaire pod kierunkiem Vilara jest bodaj najwybitniejszym zjawiskiem w życiu teatralnym Paryża lat ostatnich.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że lata 1950—1954 były zamknięciem wielkiej epoki francuskiego teatru. Przeżywa on obecnie okres nowych prób, fermentów, poszukiwań. Z jednej strony pogoń za nowością, za odświeżeniem form, z drugiej — gorączkowe wysiłki, by utrzymać się (dosłownie) przy życiu wobec coraz bardziej katastrofalnego odpływu publiczności. Więc znowu wyraźniejszy zwrot do sztuk typu rozrywkowego, do lekkich utworów bulwarowych, których treść podana w paru zdaniach na lamach reklamowych broszur zachęca do obejrzenia spektaklu, zwłaszcza gdy w roli uwodniczej, niewiernej małżonki występuje Danielle Darrieux, Ingrid Bergman albo inna sławna gwiazda filmowa. Widziałam turystów, którzy jeszcze nie zdążyli rozpakować w hotelu swych waliz, a już telefonowali do Théâtre de Paris, by zamówić bilety na sztukę „Herbata i sympatia” Roberta Andersona (w adaptacji Roger Ferdinanda). Farsowa twórczość Feydeau przeżywa renesans: uk-

stawia autor powolną agonię swych bohaterów, starając się przekazać widzowi ich myśli, uczucia i stany psychiczne w formie luźnych, rwących się dialogów. Wobec nieuchronności swej zguby niczego już nie oczekują, nie żyją żadną nadzieją. Są tragicznymi skazańcami.

Sztuki Becketta zawdzięczają wielki sukces nie tyle swej treści filozoficznej ile oryginalnej formie. Autor ten znalazł zupełnie nowy typ ekspresji scenicznej. Wyrażając poważne problemy filozoficzne środkami farsowymi, nie buduje sztuki z jej tradycyjnych elementów: intrygi, konfliktu charakterów. Wydaje się, że po prostu na chybił trafił wybiera jakiś mały fragment ludzkiej egzystencji i analizuje go z laboratoryjną precyzją. Uzbrojony w zmysł obserwacji, jak przyrodnik w doskonały mikroskop, bada uważnie człowieka. Rezultaty tej analizy są tragicznie żałosne: ujawniają całą nędzę ludzkiego istnienia, skazanego na śmierć już w chwili poczęcia. Czyżby Beckett chciał powiedzieć, że bohaterstwem jest trwanie mimo wszystko przy życiu?

W TEATRACH PARYSKICH po ośmiu latach

ZOFIA KARCZEWSKA-MARKIEWICZ

zało się zbiorowe wydanie jego dzieł, wznawia się jego sztuki. Do najośniejszych sukcesów obecnego sezonu należy komedia Marcela Acharda „Patate” w teatrze Saint-Georges, w Gimnase wznowiono „Topaz” Pagnola.

W twórczości dramaturgów współczesnych zaznacza się dość silny wpływ genre'u bulwarowego. Wystarczy wymienić graną obecnie w teatrze „Edouard VII” sztukę Armanda Salacrou „Kobieta zbyt uczciwa”, czy też sztukę Montherlant’a „Celles qu'on prend dans ses bras” („Te które bierzemy w ramiona”), gdzie autor pokazuje, jak zakochany starszy pan finezyjnie uwodzi młodszą dziewczynę. Utwór ten ma dobrą formę literacką i napisany jest z dużą wnikliwością psychologiczną, nie bez pewnej dozy cynizmu, która przypomina przedwojenną trylogię powieściową Montherlant’a „Les jeunes filles” („Dziewczęta”). Lecz na pewno nie ta sztuka zadecyduje o wybitnej pozycji, jaką autor „Port-Royalu” zajmuje w historii francuskiego teatru.

Niesłabnącym powodzeniem cieszy się w teatrze Mathurins grana już od miesięcy i wielokrotnie omawiana sztuka Williama Faulknera „Requiem dla zakonnicy” w świetnej adaptacji Camusa. Jest rzeczą charakterystyczną dla bieżącego sezonu teatralnego w Paryżu, że większość interesujących wydarzeń pochodzi ze źródeł obcych, nie francuskich. Przecież nawet Beckett i Ionesco, wywołujący ostatnio swymi sztukami tak szerokie dyskusje, — to pisarze francuscy obcego pochodzenia, Irlandczyk i Rumun, żyjący od wielu lat w Paryżu. Nową falę zainteresowań wywołało w lutym ukazanie się w wydaniu książkowym utworu Becketta pt. „Końcówka” („Fin de partie”). W związku z projektowaną inscenizacją tej sztuki krążyło немало plotek, mówiono między innymi, że ten czy ów dyrektor teatru próbował za inscenizację wyciągnąć grube tysiące z kieszeni autora, któremu sukces „Czekając na Godota” przyniósł ponoć znaczne sumy. Uważano bowiem, że wystawienie „Końcówki” jest dla teatru niemalym ryzykiem. W trakcie tych targów Paryż został uprzedzony przez Londyn, gdzie w okresie tzw. „dni francuskich” (mniej więcej podczas wizyty Elżbiety II w Paryżu) odbyła się z ogromnym powodzeniem prapremiera „Końcówki”. Obecnie już i paryska publiczność może oglądać na scenie ten utwór, o którym ktoś powiedział, że jest sztyrdem z losu ludzkiego.

Beckett ukazuje tu powolny, lecz nieuchronny rozkład fizyczny i duchowy człowieka. Podobnie jak „Czekając na Godota” i ten utwór, pozornie farsowo-cyrkowy, jest w rzeczywistości beznadziejnie smutną tragedią. Sztuki Becketta wyrażają w sposób brutalny, lecz zdumiewająco sugestywny to, co najdokuczliwiej dręczy człowieka: lęk przed śmiercią. W „Końcówce” przed-

*) Utwór ten został przetłumaczony na 18 języków i grany był w wielu krajach.

Na scenie teatryku de la Huchette w Quartier Latin wznowiono dwie krótkie sztuki Eugenia Ionesco: „Łysą śpiewaczkę” i „Lekcję”, które były już grane parę lat temu w innych teatrach. Po sukcesie „Krzesel” spektakl ten w świetnym wykonaniu aktorskim dorzucił świeżych laurów do sławy nowatorskiego dramaturga. W przeciwieństwie do Becketta, który ma niebywałą zdolność analizowania ludzkich przeżyć, Ionesco widzi świat w syntezie. Wiedzę o życiu podaje jakby w skondensowanych pigułkach, dochodząc do ostrych przejawów. W sztukach Ionesco widzę pewne pokrewieństwo z malarstwem Picassa, który ma także w wysokim stopniu zmysł syntezy i lapidarnego skrótu. W „Łysej śpiewaczce” jest obraz nudy i monotoni życia, persyflaż towarzyskiej konwersacji, banału, głupoty; w „Lekcji” pokaz obłędu pedagogicznego, który prowadzi do zbrodni. W obu wypadkach, pomimo oczywistej przesady w charakteryzowaniu ludzi i środowisk, widzę odnośne wrażenie, że autor mówi prawdę o realnym świecie.

Nie tylko u nas, lecz i w Paryżu Beckett i Ionesco mają wielu przeciwników, podobnie jak Picasso i inni artyści współcześni. Ale jednocześnie ich oryginalne formy teatralne zdobyły szeroki krąg wielbicieli i naśladowców. Niewątpliwie też w jakimś stopniu zawiązały na dalszych drogach rozwojowych współczesnego teatru.

W teatrze Marigny (zespół Grenier-Hussenot) wystawiono ostatnio sztukę szwajcarskiego autora Fryderyka Dirrenmatta pt. „Wizyta starej pani”. Akcja rozgrywa się w małym, zniszczonym przez wojnę miasteczku. Pewnego dnia przyjeżdża milionerka, Klara Zahanassian, stara kobieta, która pochodzi z tego miasteczka. Ofiarowuje swą pomoc: 50 miliardów na cele ogólne i 50 miliardów do rozdania pomiędzy mieszkańców pod warunkiem, że ktoś zdecyduje się zamordować człowieka, który ją kiedyś skrzywdził. Jest nim Alfred III, dawny jej kochanek. Porzucił ją w ciąży, żeby się ożenić z zamożną właścicielką sklepu. Klara została prostytutką, a po latach wyszła za milionera. Ta banalna, melodramatyczna historia jest tym dramatem, przedstawiającym drapieżną walkę o pieniądze. Propozycja Klary jest nader pożądana dla biednych obywateli. Choć znają potworny warunek, zadają się na konto dotacji. Coraz bardziej zacieśnia się krąg dookoła III, którego śmierć jest nieuchronna. Gdy już nie ma innego wyjścia, notabene uroczystym posiedzeniu podejmują uchwałę, że III musi zostać zgładzony. Jego śmierć będzie dla miasta wybawieniem z nędzy.

Przerazająca jest ta walka o pieniądze, w której kamienieją ludzkie serca. III z rozpaczą patrzy, jak ludzie porastają w piórka, licząc na jego śmierć. Wszyscy chodzą w nowych

MISJONARZE W KRAJU BUSZMENÓW ZBIGNIEW JAKUBIK

Od pewnego czasu obserwujemy ciekawe zjawisko meteorologiczne — im bliżej lata, tym częściej młodzi, utalentowani publicyści obu rodzimych metropolii (byłej i aktualnej) ujawniają swe dziennikarsko-publicystyczne zainteresowania Prowincją.

J. Hordyński na lamach „Życia Literackiego” ulega miękko prowincjonalnym sentymentom do uroczych Pieniń, H. Mortkowicz-Olczakowa zadowala się skromnie Krzeszowicami, odważny turysta J. Roszko w czasie czysto publicystycznego rekonesansu w góry Świętokrzyskie poddaje się perwersyjnie atakowi ostrej pyromanii („Pałę Klaj!”). Czegóż się nie robi dla dobra rodzimego interioru!

Warszawscy publicyści swych krakowskich konkurentów pozostawili jednak daleko w tyle. Ostatnio gościli podobno aż... na Lubelszczyźnie!

Niestety, ta rewelacyjna wiadomość dotarła do nas, jak zwykłe, za późno. No cóż, wszystkim stołecznym publicystom doskonale wiadomo, że na rodzimą prowincję, która rozpoczyna się tuż za ostatnimi sosnami Otwocka, prasa stołeczna dociera z tygodniowym przynajmniej opóźnieniem.

O widzie warszawskich dziennikarzy dowiedziałem się więc przypadkowo i post factum, w miejscowej oczywiście (obecnie spółdzielczej) razurze, gdzie — jak pisał jeszcze przed wojną J. Tuwim: „Szczerbaty grzebień, szcztoka staruszka łysawa, Pędzel emeryt w żółtkiej oprawie niklowej — Wszystko martwe. Na życie jedynie zakrawa Astmatyczny rozpylacz wody bżowej” (prowincja!) i gdzie na kiju wisiał akurat beczynnie sztandar publicystyki warszawskiej: najświeższy, dziewiczy, zeszlodygodniowy numer „Nowej Kultury”.

Ponieważ obawiam się, że „Nową Kulturę” ze względu na jej niestety! wysoki, stołeczny poziom, czytają na Lubelszczyźnie nieliczni jedynie „luminarze wojewódzkiej kultury” (por. „Cywilizacja powiatu” — „N. K. nr. 21), postanowiłem więc w miarę mych skromnych możliwości uprzystępnąć szerokim rzeszom tubylczym naszego województwa owe ciekawe uwagi i pasjonujące spostrzeżenia drogiego warszawskiego gościa dotyczących lubelskiego Klaja, co czynię niniejszym z rzetelnym namaszczeniem i największym szacunkiem.

Stwierdźmy na początku 2 (słownie: dwa) fakty oczywiste. — O reportażu S. Kozickiego i A. Mandaliana można powiedzieć niewątpliwie i na pewno, iż został napisany i opublikowany. Faktem nie ulegającym również chyba najmniejszej wątpliwości jest stwierdzenie, że artykuł ów pozornie, formalnie i intencjonalnie wiąże się w jakiś przedziwny sposób z naszym województwem.

Sam tytuł reportażu: „Cywilizacja powiatu” nie jest może metaforą najbardziej dla nas pochlebną, jest natomiast bezsprzecznie metaforą autentyczną. Jej autentyzm uwiarygodniony został do pewnego stopnia współautorstwem autentycznego poety.

Niestety współautorstwo autentycznego poety — A. Mandaliana nie ograniczyło się do samego tytułu. Liryzm i nastrojowość, tak typowe dla impresji poetyckich wpłynęły w sposób decydujący na kompozycję artykułu, dedykowały zaś przekształciły cokolwiek tzw. rzeczywistość obiektywną.

Ponieważ okres wiosennych odstrzałów dziennikarskich znajduje się w pełnym toku, centralnym problemem

(Dokończenie na str. 11)

(Dokończenie na str. 12)

BERŁO

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

1.

PAN do mnie? — zapytał doktor, zwracając się do starego, ogromnie wynędzniałego mężczyzny, siedzącego w sieni. Chłop z trudem podniósł się z ławy.

— Do pana, panie do doktorze...
— Proszę — wpuścił go do białej, starannie utrzymanej izby, w której siedziała już jakaś kobieta, oczekująca na zastrzyk. Dobosz nałożył fartuch, zapytał Julkę, jak spała i, umywszy ręce, przystąpił do badania pacjenta.

Tymczasem chory zdjął koszulę, a wtedy doktor ujrzał przed sobą szkielet, pokryty cienką warstwą pergaminowo-żółtej skóry. Człowiek ten przypominał ofiary Majdanka lub Oświęcimia. Z bezbarwnych oczu wyglądała cicha rezygnacja. Zamiast policzków miał dwa doły.

— Dawno pan choruje?
— Pięć lat.
— U kogo się pan leczył?
— U kogo? A przecie ino u Białasa — wyseplenil — u niego, panie do doktorze. Nie miałem innego wyjścia. Wybierałem się do Jarowa, ale zawdy wypadła jakaś przeszkoda. Raz to, to znów tamto. Jak to na wsi. A ten był zawsze pod bokiem, na miejscu. „Zjeżdżają do niego ludzie z całego kraju”, myślę, „to może i mnie pomoże.”

— I co, pomógł?
— Gdzie tam. Zmarnował mnie ten hycel! Bodaj go Pan Bóg ciężko pokarał za moją mękę, za moje straszne cierpienie. Przez długi czas mnie motal, kręcił, zagadywał, aż wreszcie wysłał do „prawdziwego doctora”. „Ja tu nie od tego”, powiedział.

Dobosz pochylil się nad leżącym i dokładnie badał jego płuca, serce, budowę. Fonendoskop wędrował z miejsca na miejsce, chory raz po raz kaszlał, to znów wstrzymywał oddech. Skarżył się na zgagę, bóle po jedzeniu i torsje.

— Tutaj, panie do doktorze — rzekł, pokazując na żołądek — Tu mnie ssie i ssie, a czasem to boli aż strach...
— A teraz? — nacisnął na lewą stronę brzucha. Chory jęknął głucho.
— Boli, panie do doktorze.
— Dobrze.

Teraz Dobosz zapytał o choroby, które pacjent przechodził, o warunki bytu, odżywienie. Stary odpowiadał wolno, ostrożnie, z wyraźną rezerwą.

— Cierpi pan na wrzód żołądka — zawyrokował lekarz — może nawet zajdzie konieczność dokonania operacji. Trudno cośkolwiek postanowić bez rentgena, bez sondy i analiz. Dlatego pojedzie pan do Jarowa, gdzie zajmą się panem. Zgoda?

— Do szpitala?
— Tak.
— Jestem już na to za stary, panie do doktorze! Wolę umrzeć we własnym domu niż w obcym mieście. Zostanę tutaj...

— I ja pana nie przekonam?
— Nie.
— W takim razie spróbuję pana leczyć na oślep. — Z głębokim współczuciem patrzył na tego kompletnie wyniszczzonego człowieka i myślał o znachorze. Oto miał przed sobą jedną z jego licznych ofiar. Iluż takich biednych, zmarnowanych ludzi wychodzi z rąk tego szarlatana? A władze wciąż spoglądają na to przez palce. Wytaczają mu sprawę po sprawie, ale wszystko kończy się na wymierzeniu grzywny. — Dam panu recepty. Proszę wykupić sobie lekarstwa i żyć według podanych wskazówek. Tylko z góry zaznaczam: robię to jedynie dlatego, że pan nie chce w żadnym wypadku poddać się operacji. Tak?

— Tak, panie do doktorze.
Dobosz na chwilę zamyślił się. Chciał za wszelką cenę ratować tego chorego, choćby dlatego, że był on ofiarą Białasa. Zapisał mu bizmut, Gelogastrynę i zastrzyki Laristidiny Rosche. Potem nauczył jak ma postępować.

— Siostró Julio! — zawołał.
— Słucham.
— Proszę o kartę choroby! — wziął z rąk pielęgniarki niewielki karteluszek. — Imię i nazwisko pana?

— Jan Maciąg.
— Lat?
— 67.
— Miejsce zamieszkania?
— Zarzeczce.

Doktor szybko wypełnił kartę, a w rozpoznaniu napisał: „ulcus ven-

triciuli”, potem dodał uwagi dotyczące przypadku. „Zgłosił się pan do mnie za miesiąc”, rzekł, podnosząc głowę. „Proszę być dobrej myśli. I robić to, co poleciłem”.

Maciąg opuścił Ośrodek. W jednej chwili uwierzył w niezwykle zdolności doktora. Nabral nagle otuchy. Jeszcze na progu giął się w pas i dziękował.

— Czy widziała pani tego człowieka? — odezwał się Dobosz, zwracając się do Julki.

— Widziałam, panie doktorze...
— To żywy trup! Ileż zła, ile prawdziwego nieszczęścia robi Białas. Muszę z tym skończyć nie czekając na decyzję władz. Ja albo on! — zaczął chodzić po pokoju, jak zawsze, kiedy był wzburzony. — Żeby mi się udało tego starca wyleczyć! Pomóc mu w jego cierpieniu. W medycynie zdarzają się przecież niespodzianki. Wrzód żołądka zabliznia się często sam, bez żadnej interwencji... Ale prawda, proszę, niech pani zobaczy, czy ktoś tam nie czeka.

— Jest jakaś kobieta z Chłaniowa.
— Proszę!

BYŁA to młoda jeszcze kobieta o zdrowej, kwitnącej cerze i siwych, mocno zmętniałych oczach. Niepokojnie rozejrzała się po pokoju, przypatrzyla się twarzom obecnych i pochrząkując zaczęła nieśmiało opowiadać o swoich dolegliwościach. Choroba jej ciągnęła się już niemal półtora roku. Skarżyła się na bicie serca, lęki i brak powietrza. W nocy budziła się ze snu, złana śmiertelnym potem. Wołała o ratunek, kazała jechać po lekarza, ale z nastaniem dnia wszystko mijało. Znów wracała do życia.

Doktor słuchał cierpliwie, a kiedy już skończyła, wziął się do roboty. Okazało się, że serce było w doskonałym wprost stanie, bez śladu wady organicznej, puls równy, miarowy. Cały organizm technicznie utajonym zdrowiem. A jednak ta kobieta była naprawdę chora, chociaż wyglądała tak czerstwo, krzepko nad podziw. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że cierpiała na nerwicę. Zaordynował jej mieszankę bromu z walerianą i zalecił bezwzględny spokój.

— O lekarstwo nie trudno — mruknię'a ze smutkiem — ale gdzie pan znajdzie spokój? Nie ma dnia, żeby człowiekowi nie wydarzyła się jakaś zgrzyzota. Taki już nasz los! — westchnęła, jakby miała ogromny głaz na sercu. — A za poradę dziękuję! — przystanęła jeszcze u wyjścia, spojrziała na doktora — A czy to ciężka choroba? — zapytała nieśmiało.

— To drobiazgi!... Zwyczajna nerwica serca! Wkrótce pani zapomni o wszystkim. Tylko proszę się niczym nie przejmować!
— Żeby tak mogła...
Dobosz wypisał na karcie rozpoznanie, potem polecił wezwać następnego pacjenta. Weszła chuda, brzydka kobieta z ładnym, tłustym dzieckiem, przypominającym bezskrzydłego am-

ra. Powiedziała, że mały ma kaszel, gra mu w piersiach. Dobosz, oglądając płaczącego chłopca, przez cały czas snuł swoje plany. „A gdyby tak odłożyć przez soltyśów na terenie całej gminy”, myślał, „że tego dnia, o tej i tej godzinie odbędzie się bezpłatne badanie wszystkich dzieci potrzebujących pomocy lekarskiej?”. Projekt wydał mu się pociągający. Z różnych stron mogły schodzić się matki, niosąc i prowadząc swoje pociechy. Akcja ta byłaby połączona z rozdawaniem leków...

Spróbuję — rozważał — a może uda mi się przełamać nieufność miejscowej ludności? Zdobyc jej serce?

Jeszcze tego samego dnia udał się do Gminnej Rady Narodowej, gdzie z sekretarzem omówił szczegóły planu. Przyrzeczono zawiadomić go o najbliższej odprawie soltyśów, by mógł sam zreferować sprawę. Sesja odbyła się w sobotę. Doktor gorąco zapelował do zebranych, prosząc o poparcie. Wystąpienie to spotkało się z ogólnym uznaniem. Nawet Zając kiwał głową na znak aprobaty, mrużąc: „Ładnie, bardzo ładnie. To z was, doktorze, prawdziwy chwiał!” Przy tym oblizywał lekko, pijackie usta.

Okazało się, że plan „chwycił”. W tydzień potem od samego rana do Ośrodka zaczęły ściągać kobiety z dziećmi, zachęcane przez soltyśów, a jeszcze więcej przez księdza proboszcza, który z ambony zachwalał nowego lekarza, tak gorliwie pełniącego swoje obowiązki i pracującego dla dobra ludu. A więc przybyły matki z Makowisk, Olechowca, Topólcy, Wiśniowa i Borowiny. Jedna przez drugą cisnęły się do drzwi, gadały z siostrą Julią, to znów uciskały poplakujące niemowlęta. Każda chciała być pierwsza i każda z nich „nie miała ani chwili czasu”, gdy oderwała się „wprost od roboty”. Wkrótce sień napełniła się gwarmin, hałaśliwym tłumem. Baby gadały, opowiadały o swoich chorych dzieciach, jedna śpiewała cichutko do snu, inna starała się piersią uspokoić małego awanturnika.

Z twarzy doktora bila luna. Był wesoły, uśmiechnięty. Sypał żartami. Bardzo zręcznie obchodził się z małymi pacjentkami, ważył, badał, poklepywał. Toteż szybko zdobył sobie zaufanie matek. Z każdą z nich pomówił, wyptał o dziecko i zaraz na wszystko miał odpowiednią radę.

— Panie doktorze, mój mały ma jakąś wysypkę — mówiła młoda, przystojna gosposia z Olechowca, owinięta w dużą, welnianą chustkę — Po całych nocach mi płacze, marudzi.

— Skaza — rzucił lekarz.
— A moja Marysia — wtrąciła inna — jest jakaś mizerna. Nie je, a schudła w oczach.
— Zaraz zobaczymy.

(Dokończenie na str. 10—11)

ANNA MARKOWA

Fotoplastikon

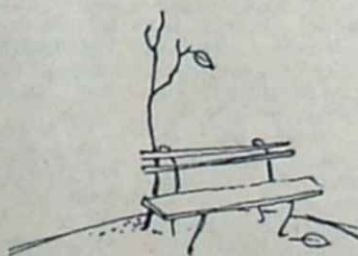
Na cieniutkich różowych nóżkach
Wspina się pracowicie
Aż pod sufit muzyczka

Cichutka
Kruchutka katarynka
Rezydentka na podwórkach
Za pięć groszy szczęśliwy los

A obrazy
Złoty piasek pustynny
Karawana stubarwnie kroczy
Potem znika w ciszy białej ramki
Przyczepionej drucianym spinaczem

Zamazane palcami szkiełka
Najtąskawsze dziecinnyim oczom
Srebrny zachwyt dźwięczy — popatrz popatrz
W takt muzyczki trzepocze trzepocze
Bas pąsowy — chłopcy czapki zdjąć

Tekturowe ściany pozytywka
Ubożuchno bibułkowo pomarzysz
Tylko dziecku welnista fala
Rozśpiewaną kołyszę łodzią
W siódmą podróż Sindbada żeglarza



HELENA PLATTA

Kino

Kran w ścianie:
otworem prostokątnym
strumień złudy tryska.
Bije w basen ekranu,
napętnia wspólnym rytmem
oddech zbiorowiska.

Sen sztucznej nocy
słodki dreszcz orzeźwia,
lzy i śmiech — wstrząsają.
Narkotycznym kontrastem
pobudza tęsknotę
by czerpać z suchych źródeł krople, —
a żyć — potem.

IRENA KOZIEJOWSKA

Sonata
księżycowa

Platynowe lejce — struny skrzypiec
nabrzmiały tonem,
ale
zadrzemał smyczek — lipiec
jak one
w zamśwonym futerales.

Więc miniatury z prehistorycznej ery
zimne i wylupiane
zagrały Beethovena
w adaptacji własnej.

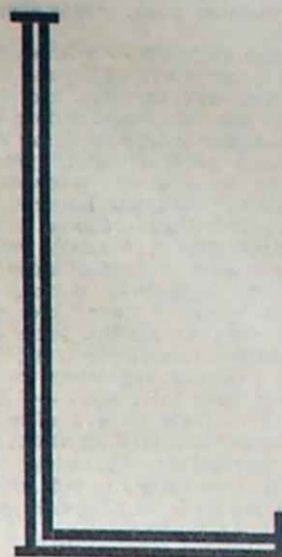
Widownia — muszla
akustyczna
zatrzaśnięta w podkowę.
Cmy, legendy i guśla
w kurtynie nietoperzowej.

Strzelają iskry z gwiazdnych proc.
Wieczór zdjął tłumik — ciszę.
Sonatę gra fortepian — noc,
a brzuszki żab — klawiszowe.

JUBILEUSZ BIBLIOTEKI IM. HIERONIMA ŁOPACIŃSKIEGO



Pięć- dziesiąt lat



ROK 1957 jest rokiem jubileuszowym Biblioteki imienia Hieronima Łopacińskiego w Lublinie. Pięćdziesiąt lat minęło od chwili założenia placówki, która wniosła swój trwały wkład w życie naukowe i kulturalne Lubelszczyzny.

Kim był człowiek, którego inicjatywa i zbiory stały się podwaliną biblioteki nazwanej Jego imieniem?

Hieronim Łopaciński, urodzony w dniu 30 września 1860 r. w Ośnie Górnym na Kujawach, ukończył ze srebrnym medalem gimnazjum w Kaliszu, a następnie Wydział filologiczno-historyczny na Uniwersytecie Warszawskim, uzyskując dyplom i złoty medal za rozprawę pt. „Charakterystyka osób występujących w komediach Terencjusza”. Już w okresie studiów przejawiał się naukowo-badawcze zamięłowania młodego Łopacińskiego, zwracając nań uwagę dziekana Wydziału profesora Dłaczana. Po nieudanych staraniach, by wysłać Łopacińskiego na dalsze studia za granicę — Dłaczan poleca go swemu przyjacielowi Siengalewiczowi, dyrektorowi gimnazjum lubelskiego. I tak od 1 stycznia 1884 r. rozpoczyna Łopaciński pracę pedagogiczną w Lublinie jako nauczyciel łaciny i greki. Praca w szkole nie dawała mu zadowolenia, odrabiał ją jak ciężką pańszczyznę, każdą wolną chwilę poświęcając na umiłowane studia i badania językoznawcze.

Dyrektor Siengalewicz wraz z wicegubernatorem Lublina Tchorzewskim postanowili wykorzystać naukowo-badawcze zamięłowania Łopacińskiego i zlecili mu przeprowadzenie badań historycznych dotyczących przeszłości regionu lubelskiego. Chcieli oni zebrać w ten sposób materiał do wykazania rosyjskości ziemi lubelskiej. Łopaciński przyjął polecenie bardzo niechętnie, w miarę jednak zagłębiania się w pamiętniki przeszłości, rozmiłowywał się w nich coraz bardziej i nie przerwał już szperania i dociekań mimo zakazu mocodawców, gdy okazało się, że wyniki są wręcz przeciwnie tym, które chcieli uzyskać. Wkrótce też zaczęły się ukazywać w czasopiśmie cenne przyczynki do dziejów kultury polskiej podpisane Rafał Lubicz. Takiego pseudonimu używał Łopaciński, by uniknąć represji. Oprócz przyczynków dotyczących badań etnograficznych i archeologicznych daje również do druku cenne przyczynki językoznawcze. Łopaciński staje się coraz bardziej znany i ceniony w sferach naukowych, o czym świadczy bogata korespondencja z wybitnymi językoznawcami i etnografami tego okresu i wyrazy uznania, których mu nie szczędzą, oraz kontakty z instytucjami naukowymi, takimi jak Akademia Umiejętności w Krakowie, Zakład Naukowy im. Ossolińskich, Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Muzeum Królewskie w Pradze i wiele innych. Ponadto był on współpracownikiem Słownika Geograficznego, Wielkiej Encyklopedii Powszechnej Ilustrowanej, Encyklopedii Staropolskiej Glogera, Księgi przysłów, przypowieści i wyrazów przysłowiowych polskich, wydanej przez Adalberga.

Oceniając zasługi Łopacińskiego na polu językoznawstwa Komisja Językowa Akademii Umiejętności w Krakowie powołała go na swego członka w r. 1899; w r. 1901 Łopaciński zostaje zatwierdzony jako członek korespondent Akademii Umiejętności na Wydziale Filologicznym.

Badania naszego naukowca prowadzone nad ludem mazurskim spotkały się z uznaniem badaczy niemieckich, czego wyrazem było przyznanie mu dyplomu członka Towarzystwa Starożytności „Prussia” w Królewcu.

W poszukiwaniach swoich i badaniach Łopaciński starał się zawsze dotrzeć do źródeł przez nikogo jeszcze nietkniętych. W czasie jednej z podróży do Moskwy wynalazł w tamtejszym archiwum jedyny

istniejący egzemplarz relacji o zburzeniu Lublina w 1656 r. Wynalazł i opracował najdawniejszy dokument (z r. 1506) dotyczący dziejów wodociągów w Lublinie, opracował przyczynki do historii cechów. W ogóle przeszłość Lublina ma w Łopacińskim swego bardzo skrupulatnego badacza i poszukiwacza. W dziele Barauna „Theatrum praecipuarum totius mundi” odkrył sztychowany przez A. Hogenberga najstarszy jaki znamy dotychczas widok Lublina z r. 1618. Współpracował przy organizowaniu wielkiej wystawy rolniczo-przemysłowej w Lublinie w r. 1901. Opracował dział poświęcony ludoznawstwu i zabytkom polskim. Wydobył i pokazał ponad 200 druków staropolskich, dokumentów i przywilejów nadawanych miastu i cechom rzemieślniczym. Wiele okazów pochodziło z jego własnych zbiorów. A zbiory miał bardzo bogate. Czteropokojowe mieszkanie było dosłownie zaważone cennymi księgami, drukami, rękopisami i rycinami. Łopaciński nosił się z zamiarem założenia biblioteki, której chciał przekazać swoje zbiory. Zginął tragicznie w pełni sił twórczych 23 sierpnia 1906 r.

W DNIU pogrzebu zebrał się w mieszkaniu zmarłego jego dawni przyjaciele i postanowili nabyć od rodziny cenne zbiory i zatrzymać je w Lublinie jako podstawę przyszłej biblioteki publicznej. Dla podjęcia pewnych decyzji i nadania formy prawnej projektowanej bibliotece postanowiono zawiązać Towarzystwo Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie. Organizatorów — założycieli było dziesięciu, a mianowicie: Mieczysław Biernacki, Kazimierz Jaczewski, Aleksander Jaworowski, Władysław Modrzewski, Henryk Jaworski, Tadeusz Piotrowski, Edmund Sachs, Aleksander Schoeneich, Juliusz Vetter i Konstanty Zaremba. Towarzystwo zostało formalnie zarejestrowane 25 marca 1907 r. Paragraf pierwszy statutu brzmiał: „Towarzystwo Biblioteki Publicznej imienia Hieronima Łopacińskiego w Lublinie ma na celu spółdzielanie rozwojowi nauk i oświaty przez gromadzenie i utrzymywanie księgozbioru ze wszystkich dziedzin literatury naukowej i beletrystycznej oraz innych środków i pomocy naukowych do użytku powszechnego”.

W dniu 26 maja 1907 r. odbył się pierwsze organizacyjne zebranie Towarzystwa przy udziale 32 osób. Pierwszy zarząd ukonstytuował się jak następuje: prezes — Leon Przanowski, wiceprezes — Juliusz Vetter, skarbnik — Aleksander Jaworowski, sekretarz — Kazimierz Jaczewski. Zasadniczą sprawą, jaką należało załatwić, było kupno księgozbioru pozostałego po Łopacińskim oraz wyszukanie odpowiedniego lokalu, gdyż tymczasowe pomieszczenie w małej salce gmachu po-dominikańskiego nie zabezpieczało przed zniszczeniem. Należało również spowodować zainteresowanie się społeczeństwa sprawą Biblioteki oraz zwrócić się do instytucji i przedsiębiorstw z prośbą o pomoc finansową. Apel Towarzystwa do społeczeństwa lubelskiego nie pozostał bez echa. Wkrótce zaczęły napływać datki i ofiary w gotówce i w książkach. We wrześniu 1907 r. zawarto formalnie akt kupna, wynajęto i wyremontowano większą salkę w gmachu po-dominikańskim i w dniu 26 kwietnia 1908 r. otwarto Bibliotekę dla użytku publicznego. Na dorocznym zebraniu członków Towarzystwa sekretarz Jaczewski już mógł powiedzieć: „Mamy na koniec tu w Lublinie własną swoją bibliotekę publiczną — mamy warsztat do pracy, jeśli nie tej twórczej, co to dźwiga myśl ludzką w przestworza szerokich wspaniałych horyzontów, to przynajmniej dla tych warstw, które już posłały kulturę umysłową i zapragną ją uzupełnić w sposób ściśle naukowy”.

NASTĘPNE lata, aż do wybuchu I wojny światowej, to borykanie się Towarzystwa z trudnościami finansowymi i umacnianie organizacyjne biblioteki. Już w 1914 r. w związku z coraz bardziej rozrastającym się księgozbiorem i zwiększającą się liczbą czytelników, dotychczasowe lokum okazało się wysoce niewystarczające, a nawet niebezpieczne, gdyż strop w czytelni groził zawaleniem. Toteż powstały projekty kupna jakiegoś obiektu, albo budowy własnego gmachu. Wypadki wojenne zahamowały częściowo prace i Towarzystwa, i biblioteki, jednak sprawa innego pomieszczenia jest ciągle dyskutowana przez Komitet Towarzystwa. Na początku 1915 r. Zarząd Muzeum Lubelskiego nabywa gmach przy ul. Namiestnikowskiej 289 (dziś Narutowicza 4) i proponuje Bibliotece wynajęcie części lokalu z warunkiem dokonania na własny koszt koniecznych remontów i przeróbek. Towarzystwo propozycję przyjęło, lecz sprawa remontu i przeniesienia księgozbioru przewlekła się na skutek trudności finansowych. Pierwsze lata po wyzwoleniu nie przyniosły na razie zmian. Dopiero po długich staraniach, w lipcu 1922 r., dr Jaworowski, ówczesny prezes Towarzystwa, uzyskał zgodę magistratu m. Lublina na wydzierżawienie 4 pokoi na I piętrze w budynku Trybunału. W sierpniu tegoż roku uroczyście otwarto Bibliotekę w nowym lokalu. Księgozbiór liczył już wtedy około 40 tysięcy tomów, prócz tego Biblioteka posiadała 1.842 rękopisy, 658 map, 2.758 rycin oraz prenumerowała 16 tytułów czasopism. Czytelnia na 50 miejsc ożywiła znacznie czytelnictwo, tak że wkrótce notowano już w dwójnasób zwiększoną liczbę odwiedzin. Cały okres międzywojenny był bardzo trudny dla Biblioteki. Zmniejszała się stopniowo ofiarność społeczeństwa na skutek katastrofalnych warunków ekonomicznych. Toteż Towarzystwo zabiega o dotacje państwowe i powoli podstawy materialne Biblioteki przechodzą z ram ofiarności społecznej na subsydia Ministerstwa WR i OP oraz magistratu miasta Lublina. Otrzymywane subwencje są niewielkie, wpływają nieregularnie i ledwie starczą na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb, księgozbiór zaś powiększa się poważnie w drodze darów. Można tu wymienić choćby księgozbiór Kraszewskich, ofiarowany przez Krzysztofa Kraszewskiego, dalej księgozbiory: Tadeusza Kowalskiego, Gustawa Wiercińskiego, Towarzystwa Lekarskiego Lubelskiego i bardzo cenną część biblioteki Bolesława Prusa, opracowaną przez prof. dr. Feliksa Araszkiwicza, długoletniego członka Towarzystwa i wypróbowanego przyjaciela Biblioteki. Ponadto Ministerstwo WR i OP przekazało Towarzystwu bibliotekę byłego seminarium prawosławnego w Chełmie oraz bibliotekę byłego gimnazjum rosyjskiego w Lublinie.

W r. 1933 powstaje w Lublinie Związek Pracy Kulturalnej. Zakreśla on szerokie perspektywy swej działalności. Plany pracy przewidyują między innymi budowę gmachu, gdzie mogłyby znaleźć pomieszczenie Biblioteka i Muzeum Lubelskie. Związek Pracy Kulturalnej zostaje przekształcony w 1938 r. na Instytut Lubelski, w skład którego na równych prawach weszły: Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Towarzystwo Biblioteki im. H. Łopacińskiego i Muzeum Lubelskie. Instytut, kontynuując prace Związku, doprowadził do końca budowę gmachu przy ul. Narutowicza 4, dokąd w 1939 r. przenosi się Biblioteka zajmując pięciopiętrowy magazyn, salę przeznaczoną na czytelnię oraz dwa pokoje biurowe. Niestety wybuch drugiej wojny światowej przerywa pracę i Towarzystwa, i Biblioteki. Okupanci zwieźli do gmachu cały szereg księgozbiorów z innych bibliotek,

(Dokończenie na str. 6)

SPRZYMIERZENIE CZYTELNIKA

WŚRÓD wielu działów pracy bibliotekarskiej zmierzającej do sprawnego zaspokojenia potrzeb czytelnika nienajmniejszą rolę odgrywa istniejący w naszej bibliotece od roku 1952 Dział Informacyjno-Bibliograficzny wraz ze swoim najmłodszym, bo zorganizowanym w IV kwartale ubiegłego roku, Oddziałem Terenowym.

A więc najpierw — zakres działania. Pozornie skromny: udzielanie informacji, wskazówek każdemu, kto się o nie zwróci. Ale informacja informacji nie równa. Czego innego bowiem potrzebuje student przygotowujący pracę maturalną o metaforze Norwida, innej rady zechce zasięgnąć historyk zajmujący się początkami ruchów chłopskich na Lubelszczyźnie, a czego innego jeszcze oczekuje czytelnik, który przychodzi do Biblioteki po raz pierwszy i nie zna niekiedy nawet tych najprostszych dróg do książki, jakie otwiera umiejętność posługiwania się katalogami i aktualny regulamin biblioteki.

Tego rodzaju informacje — biblioteczne — (korzystają z nich zresztą i stali wytrawni czytelnicy naszej Biblioteki, chcąc się np. dowiedzieć, jakimi dziełami interesującymi ich rozporządzamy) stanowią u nas dość znaczny odsetek.

najczęstszy — stanowią informacje bibliograficzne. Tu również zasięg ich jest bardzo rozległy — przykładowo: od Kalidasy do najmłodszych współczesnych poetów polskich, od początków organizacyjnych państwa polskiego do ONZ czy SEATO, od początków ruchu robotniczego do XX Zjazdu KPZR, od leczenia ludowego do najnowszych osiągnięć medycyny i służby zdrowia.

Wiele kwerend dotyczy materiałów związanych z Lubelszczyzną, a więc historii samego Lublina i innych miast, danych dotyczących zabytków architektonicznych naszego regionu, dawnych ośrodków przemysłu, np. fabryk ceramicznych w Tomaszowie i Lubartowie, początków prasy lubelskiej. Nie mniej jest zapytań czy to o pisarzy ściśle związanych z życiem i twórczością z Lubelszczyzną, czy też o „lubelski okres” działalności literackiej różnych ludzi. Nie mniejsze także zainteresowanie budzi historia Lubelszczyzny, jej dzieje gospodarcze i społeczne i to nie tylko w związku z retrospektywnymi pracami, ale i dla potrzeb współczesnego planowania gospodarczego czy przestrzennego (o różne materiały zwraca się np. Wojewódzka Komisja Planowania Gospodarczego i inne organa władzy terenowej). Zainteresowanie budzą również

syntetów powszechnych skłania do sięgnięcia po dawne opracowania ich historii, metod organizacji, zakresu teorii, metod organizacji, zakresu teorii. Sprawa aktywizacji małych miasteczek każe sięgnąć do wiadomości o rozmieszczeniu dawnych ośrodków przemysłowych czy rękodzieła na Lubelszczyźnie.

Przykłady podobne można by zresztą mnożyć, porad bowiem udzielono w roku ubiegłym prawie trzy tysiące, w bieżącym zaś do kwietnia właśnie — już około 1300.

Aby sprostać owemu zapotrzebowaniu społecznemu, nasz dział informacyjny gromadzi specjalny księgozbiór podręczny o charakterze encyklopedycznym.

LE na tym nie koniec. Dział sporządza specjalne zestawienia bibliograficzne, poświęcone poszczególnym kwestiom, postaciom, wydarzeniom (z ostatnio opracowanych np. Kanał Sueski, Poeci warszawscy z czasów okupacji, Bruno Jasiński, Teatr Ludowy, Jan Wantula, Farbiarstwo w dawnej Polsce, Jan Amos Kołomyjski).

Obejmują one w chwili obecnej 386 zestawień, stale uzupełnianych i aktualizowanych. Dział nasz opracowuje ponadto materiały bio- i bibliograficzne dotyczące pisarzy polskich i obcych, gromadzi recenzje książek, prowadzi kartotekę cytatów, poezji i materiałów świetlicowych.

Obraz działalności służby informacyjnej byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o jednym z głównych przedmiotów jej pracy, mianowicie o katalogu Lublinianów. Rejestruje on wszelkie druki samoistne oraz pozycje czasopiśmiennicze odnoszące się do Lublina i Lubelszczyzny o bardzo szerokim zasięgu tematycznym. W chwili obecnej zawiera około sześciu tysięcy pozycji, uporządkowanych alfabetycznie i rzeczowo. Dopełniają go gromadzone skrzę-

nie wycinki prasowe o tejże tematyce. Katalog Lublinianów ujawnia zasoby naszej Biblioteki dotyczące Lubelszczyzny, obok niego prowadzi się również kartotekę Lublinianów, których Biblioteka dotąd nie rozporządza. Oparty w znacznej części, na zbiorach pozycjach dawniejszych, na zbiorach Hieronima Łopacińskiego, jest on jednym z podstawowych elementów naszych zasobów bibliotecznych, któremu poświęcamy wiele troski i starań.

Specjalne zadania przypadają w udziale Oddziałowi Terenowemu naszego ośrodka. W trosce o rozwój sieci informacyjno-bibliograficznej konieczne stało metodyczne przygotowanie do jej organizacji i w mniejszych ośrodkach — w bibliotekach powiatowych i miejskich. Służy temu systematyczne szkolenie bibliotekarzy terenowych w dziedzinie organizacji warsztatu tego rodzaju pracy, orientacji w zasadach korzystania z bibliografii, pomocy przy zakładaniu kartotek zagadnieniowych, kartotek cytatów, adnotowanych zestawień bibliograficznych z literatury współczesnej jak i publicystyki. Należy tu również szkolenie bibliotekarzy w zakresie teorii literatury, połączone z praktycznymi ćwiczeniami z poetyki, prowadzonymi przez wybitne miejscowe siły fachowe.

Jest to jednak tylko jedna strona zagadnienia. Druga — to ścisły kontakt i współdziałanie z placówkami tego rodzaju, jak z Biblioteką Narodową, czy innymi ośrodkami informacji o zasięgu ogólnopolskim. Wymiana materiałów pozwala z jednej strony lepiej informować własnych czytelników, z drugiej — udostępnia własne materiały w szerszym zakresie i ułatwia planowanie pracy, a co za tym idzie zaoszczędzenie czasu i wysiłku w poszukiwaniach, które mogą być niekiedy niepotrzebnie dublowane.

Irena Harhalowa

Bibliotekarz Lubelski

„Bibliotekarz Lubelski”, wydawany przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną, jest bodaj jedynym regionalnym pismem bibliotekarskim w Polsce. „Bibliotekarz” zaczął wychodzić w zeszłym roku w maju i dotąd ukazały się trzy numery, czwarty jest w przygotowaniu. W założeniu zespołu redakcyjnego pismo miało stać się trybuną lubelskich pracowników bibliotek, odzwierciedlać ich problemy i osiągnięcia. „Bibliotekarz” miał mówić także o kontaktach z bibliotekami innych krajów, miał przesyłać ich formy pracy na nasz teren. Miał wreszcie drukować materiały potrzebne do szkolenia i dokształcania się bibliotekarzy i zapoznawać z ciekawszymi materiałami znajdującymi się w naszych bibliotekach. Jak wygląda realizacja tych zamierzeń? Najwięcej artykułów, omówień, notatek związanych jest ze sprawami bibliotekarskimi. Bibliotekarze mówią o metodach pracy — np. w jaki sposób „rozczulić” wieś, krytykują rynek wydawniczy, analizują stan czytelnictwa w swoich bibliotekach.

Ciekawe są także artykuły dotyczące naszych kontaktów z NRD i Czechosłowacją. Ilse Schumann, kierowniczka Biblioteki Wojewódzkiej w Potsdamie (NRD), tak opisuje swoje wrażenia z pobytu w Dmininie powiatu łukowskiego: „Jeden z wieśniaków zaczyna czytać wodząc palcem po stronie. Czyta nie jakając się... Jesteśmy wzruszeni tym, co po raz pierwszy w życiu przeżywamy. Przychodzą tutaj

chłopi w swoich grubych kożuchach, ze zmęczonymi twarzami, z których można odczytać historię ich życia, i po całodziennej pracy siadają na szkolnych ławkach, aby w zgrubiałych od pracy palcach trzymać ołówki i notować to co usłyszą”.

Z innego reportażu dowiadujemy się znowu o wycieczce bibliotekarzy czechosłowackich, którzy odwiedzili biblioteki naszego województwa.

Ostatni numer „Bibliotekarza” ożywiają przede wszystkim: „Literatura a rzeczywistość” — jest to streszczenie bardzo ciekawego odczytu prof. Zgorzelskiego o wzajemnym stosunku rzeczywistości nas otaczającej i rzeczywistości stwarzanej przez pisarza w dziele literackim. W drugim z wymienionych artykułów „Las rzeczy” Wanda Szware opisała wydobyte z Biblioteki imienia Łopacińskiego ciekawe rękopisy. Okazuje się, że są one kopiami szczegółów obyczajowych dotyczących szlachty polskiej XV—XVIII w. Powinien do nich zaglądać historyk, historyk kultury, a także przeciętny czytelnik ciekawy dawnych czasów.

Nr 3 „Bibliotekarza Lubelskiego” zawiera jeszcze wiele artykułów zastępujących na uwagę, takich, które zainteresują głównie ludzi związanych bezpośrednio z pracą w bibliotece. (hep)



Inne — rzeczowe — dotyczą konkretnych osób, wydarzeń, zjawisk, faktów, dat. Ich zasięg jest bardzo rozległy i różnorodny zarówno w sensie czasowym, jak i przestrzennym. Np. ktoś pyta — od jak dawna używa się w Polsce kół szprychowych, albo — jakie są kształty i ozdoby kryształów, albo — jaki był skład polskiej drużyny piłkarskiej na Olimpiadzie w Berlinie, albo — jaki czas obowiązywał w Lublinie w r. 1920, albo — jakie były nakłady inwestycyjne w naszym mieście przed ostatnią wojną.

Przykłady powyższe zostały wybrane celowo spośród setek innych, aby wskazać m. in. na tę okoliczność, że bez względu na humanistyczny głównie charakter naszych zbiorów, czytelnicy zwracają się o pomoc w kwestiach dotyczących najrozmaitszych dziedzin życia i wiedzy. Trzeci wreszcie typ informacji —

dzieje postępowych ruchów społecznych na Lubelszczyźnie, zarówno robotniczych, jak i chłopskich.

Różne zjawiska literackie, wydarzenia kulturalne budzące zainteresowanie społeczeństwa czy określonych jego kręgów znajdują odbicie w charakterze kwerend zgłaszanych do naszego działu informacyjnego. Przypomnienie np. wybitnych twórców przez Świątową Radę Pokoju spowodowało zapotrzebowanie na opracowania dotyczące Walta Whitmana, Heinego, Mozarta, Linneusza, Glinki. Rok Mickiewiczowski zaznaczył się również znacznym zapotrzebowaniem na wszelkiego rodzaju mikiewicziana.

Ale i inne sprawy odbijają się w naszej pracy. Wzrost przestępczości nieletnich każe ludziom zajmującym się tym zagadnieniem szukać odpowiedniej literatury fachowej — prawniczej czy pedagogicznej. Powrót do idei uniwer-

przekazuje Bibliotekę na własność miastu Lublinowi podając w umowie szereg warunków, m. in. zachowanie nazwy, nierozdrabnianie księgozbioru, opiekę nad grobem Łopacińskiego i wreszcie wydanie monografii o Łopacińskim i historii jego księgozbioru.

Od tej chwili Biblioteka im. H. Łopacińskiego zostaje połączona z Miejską Biblioteką i pełni funkcje centrali w stosunku do filii bibliotecznych na terenie miasta.

Na skutek zmian organizacyjnych w sieci na przełomie 1954 i 1955 r. Biblioteka Miejska im. H. Łopacińskiego zostaje połączona z Wojewódzką Biblioteką Publiczną i staje się w ten sposób naczelną placówką biblioteczną na terenie województwa, łącząc pracę dla miasta z pracą instrukcyjno-metodyczną, szkoleniową i badawczą, obejmującą wszystkie placówki biblioteczne w województwie.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka im. H. Łopacińskiego (tak bowiem brzmi obecna nazwa Biblioteki) konsekwentnie prowadzi linię rozwojową placówki w myśl życzeń jej twórców i założycieli. Ostatnio magazyn naukowy został wzbogacony cennym księgozbiorem b. ordynacji Zamojskich z Klemensowa. W związku z 50-leciem ukaże się Księga Pamiątkowa obejmująca zarys dziejów Biblioteki, sylwetkę Łopacińskiego i opis księgozbioru jako warsztatu pracy naukowej.

Janina Grabowska



Pięćdziesiąt lat

(Dokończenie ze str. 5)

projektując utworzenie wielkiej biblioteki państwowej, oczywiście tylko dla Niemców.

PRAWIE natychmiast po opuszczeniu Lublina przez Niemców ożywa sprawa Towarzystwa i kontynuacja pracy Biblioteki. Początkowo trudności były ogromne. Lokal zdewastowany i częściowo uszkodzony przez bomby, tysiące książek zwalonych beładnie w stosy. Sprawa była tym trudniejsza, że brak było funduszy na opłacenie pracowników i konieczne remonty. Składki członków Towarzystwa, opłaty ze wstępów do czytelni, dawały znikome sumy w stosunku do potrzeb. Ministerstwo Oświaty i Prezydium Miejskiej Rady Narodowej przyznawały do czasu tylko subwencje, trudno więc było oprzeć pracę Biblioteki na jakimś stałym preliminarzu budżetowym. Toteż gdy w r. 1948 Miejska Rada Narodowa w Lublinie zaproponowała Towarzystwu przyjęcie Biblioteki, walne zebranie członków wyraziło zgodę i w dniu 1 lipca tegoż roku zbiory Biblioteki zostały przyjęte w depozyt przez miasto z zagwarantowaniem całości zbiorów i obowiązkiem racjonalnego ich uzupełniania. Forma depozytu okazała się jednak niewygodna, a więc w rok później Towarzystwo



Dwa dni w lubelskim królestwie książek

Prawdziwe to królestwo acz bez tronu, bez ziemi i oręża. Dwa dni krążyłem po jego terytorium, a muszę wyznać, że i dwudziestu nie byłoby za dużo, ażeby je poznać choćby powierzchownie. Rzućmy mimo to pobieżne spojrzenie na niektóre skarby Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego.

A więc przede wszystkim rękopisy. W tajniki pokaźnej cyfry 2000 starych rękopisów wprowadza mnie ich opiekunka i świetna znawczyni, p. Wanda Szwarz. Od niej dowiedziałem się, że nasza Biblioteka (tj. lubelska centrala) posiada rękopisy sięgające nawet XIV w. Są to przywileje dla m. Lublina. M.in. znajduje się tu dokument z lustracji Zamościa w XVII w. z dokładnym opisem wyglądu ulic, domów itd. Jest też sporo rękopisów słynnych pisarzy polskich. Z daru Oktawii Głowackiej trafiły tu rękopisy Prusa związane z Lublinem. Są też rękopisy Elizy Orzeszkowej. Jak wiadomo, Orzeszkowa prowadziła księgarnię wspólnie ze znanym wileńskim księgarzem Wacławem Makowskim. Niektóre rękopisy znalazły się w posiadaniu córki Makowskiego, Ewy Gulbino-wej, ta z kolei darowała je Bibliotece. Można tu znaleźć pojedyncze listy Żeromskiego, Konopnickiej, Przyborskiego i Reymonta.

sona w 1628 r. i drugi już po niemiecku z r. 1650. Są tu Atlasy Chomanowskie z 1775 r., atlas obrazujący bitwy i oblężenia z wojny siedmioletniej, wydany w Norymberdze w 1763 r., atlas Królestwa Polskiego opracowany przez Kolberga w 1827 r., wreszcie Atlas do dziejów Polski Lelewela, wydany we Wrocławiu w 1845 r.

Cenna jest Mapa Polski z 1570 r. (z Atlasu Abrahama Orfeliusa pt. „Teatrum orbis terrarum”, wydane w Antwerpii w 1570 r.) albo mapa Pomorza Zachodniego Lubinusa z 1618 r. Nie mniej ciekawa jest mapa Polski z 1772 r. w 24 arkuszach opracowana przez włoskiego kartografa Rizzi-Zannoni w Londynie.

Znajdujemy w Bibliotece plan Lublina z 1650 r., ręcznie rysowany i malowany na pergaminie przez Karola Bekiewicza, uszkodzony w pożarze miasta w XVIII w., obecnie odnowiony przez pracownię profesora Lenarta w Warszawie.

Opiekunkę Kartografii, panią Marię Łuszczynską, która wprowadzała mnie w tajemnice starych atlasów, map i planów, pytam przed rozstaniem dość niedyskretnie, ile wynoszą pensje w tych trzech pracowitych i tak ważnych działach? Odpowiedź brzmi: 1100 zł. na rękę.

opryskliwie, że chodzi o wymianę księgozbioru. Ale front był tuż, tuż... Więc pracowniczki Biblioteki prawą ręką wkładały do skrzyń cenne książki, a lewą wyjmowały je, ratując co się da dla Biblioteki. Na ich miejsce pakowano bezwartościowe szpargały. Czy trzeba mówić, jaka to była niebezpieczna robota? Opowiada dalej panna Polakówna o gruzie pozostałym w magazynie, gdy front oddalił się od miasta, o trudnych miesiącach pracy o chłodzie i głodzie, bo nikt wtedy nie płacił pensji (i do dziś nie zapłacono za ten okres). Ze wzruszeniem wspomina, jak to członek Towarzystwa Przyjaciół Biblioteki, pan Radzymiński w najtrudniejszym okresie wspomógł nieopłacany personel kwotą 50,000 zł.; z dumą mówi, że Biblioteka bardzo szybko stanęła na nogach i że w okresie PKWN członkowie poszczególnych resortów nieraz zaglądali tu po materiały. Pytam jej, czy zmieniłaby dziś pracę, gdyby jej zaproponowano wysokie pobory. Słyszę zdecydowane: nie. Panna Polakówna nie potrafiłaby już obejść się bez tej pracy, za którą p o b i e r a m i e s i ę c z n i e aż... 650 zł.

Ta zapalona miłośniczka książki oprowadza mnie po wszystkich 5 piętrach „wieżowca”, w którym mieści się magazyn, i skarży się, że w gmachu przewidzianym na 100.000 tomów, mieści się prawie 200.000. Książki „mają ciasno”. Trzeba coś z tym zrobić, bo tak dalej nie może być.

Oglądamy wspólnie niektóre wolumina. Okazuje się, że mimo nieustannego ścierania jest na nich trochę kurzu. Skąd się bierze, nie wiadomo. Panna Polakówna bezradnie rozkłada ręce. Uderzam lekko nogą w kamienną posadzkę i rozglądam się po murach normalnie tynkowych i malowanych. Gdyby tak dać na posadzkę linoleum, a ściany pomalować na olejno, kurzu nie byłoby wcale. „Ale ile by to kosztowało!” — wzdycha panna Polakówna.

Odcodzę stąd wielokrotnie zapewniany, że nie ma tu wcale kornika, że książki wysypuje się azotoksem i że na pewno nic im nie grozi, choć może dobrze by było mieć urządzenie do walki z kornikiem przy pomocy gazów. Ale to też niezwykle kosztowna sprawa.

A więc ludzie... Ciągłe i zawsze ludzie. Ci, rozmówieni w książce, ofiarni i oddani idei. Do nich należał Hieronim Łopaciński i jego najbliżsi przyjaciele, do nich należeli i należą członkowie Towarzystwa Przyjaciół Biblioteki, wśród których wielką zasługą dla Biblioteki wyróżnia się profesor Feliks Araszkiewicz, literat i naukowiec; najstarszy pracownik Biblioteki, Kazimiera Gawarecka, której Biblioteka zawdzięcza tyle; do nich należy Radzymiński i do nich trzeba zaliczyć miłą, charakterystyczną postać panny Polakówny, która tak zwięźdajnie i prosto mówi: „przyszłam tu po szkole powszechnej... i wszystko zawdzięczam pani Gawareckiej, a co do większej pensji, no to... trochę by się przydało więcej, pewno że tak, ale...” I to „ale” wyczerpuje zdaje się jej charakterystykę.

Na temat bolączek dyrektor Grzelak mówi niechętnie. „Nie chcemy się skarżyć — powiada — skarga to rzecz łatwa...” Nie ustępuję jednak i oto — problemy: A więc najpierw lokal; konieczność rozbudowy gmachu jest w tej chwili sprawą oczywistą. Sprawa placu pod budowę jest właściwie rozwiązana dzięki stanowisku władz kościelnych, które są jego właścicielem, chodzi więc tylko o pieniądze. Ile? — Trzydzieści milionów zł. Za tę kwotę można by dobudować do pięciopiętrowego wieżowca dwa dalsze piętra, wzniesić nowy 7-piętrowy budynek i zbudować windę, która kosztowałaby oddzielnie około 200.000 zł. Inwestycję tę można by zrealizować w ciągu najbliższego 6-letcia, gdyby udało się uzyskać pomoc państwa i miasta. Tymczasem jednak trzeba dać Bibliotece nowe kotły, bo w zimie trochę tu za chłodno, gdy się... nie pali. Trzeba by również pomyśleć o podniesieniu płac, bo personel jest bardzo dobry, ale płace... No, o tym już wiemy coś niecoś.

Jestem zachwycony Biblioteką, jej ogólną pracą, rozwojem, oddaniem jej ludźmi. Dlatego w reportażu tym przeważa akcent optymistyczny. Jest jednak „ale”. Kończąc zwiedzanie Biblioteki, oglądam jej jednopiętrowe skrzydło, a raczej parter. Niestety, tu trzeba załamać ręce. W zachodnim skrzydle ukończono właśnie malowanie. Znajduje się tu około 10.000 tomów częściowo pochłapanych wapnem, na walących się półkach lub w stosach... W powietrzu zaduch i wilgoć piwniczna, bo tu jest grzyb. Ta sama historia ze skrzydłem wschodnim. W sumie około 30.000 tomów walczy z najgorszymi warunkami i zdaje się wołać o litość. Nie znam się na tych sprawach, lecz wydaje mi się, że jak najprędzej trzeba po prostu rozpocząć budowę. Muszą przecież znaleźć się pieniądze na Bibliotekę, z której jesteśmy wszyscy tak dumni i która tyle nam daje dobrego.

Stefan Wołski

Białe kruki

W 1956 roku do Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. H. Łopacińskiego w Lublinie został przewieziony księgozbiór z Klemensowa będący w swoim czasie własnością rodziny Zamojskich. Uchwałą Prezydium WRN w Lublinie w kwietniu 1957 r. zbiór ten został przekazany na własność Biblioteki im. H. Łopacińskiego. W księgozbiórze tym przez druków w XIX i XX znalazło się około 4000 starych druków z lat różnych. Druków polskich okazało się stosunkowo niewiele. Większość stanowią druki obce z w. XVIII. Z tego wieku pochodzi również największa ilość poloników. Wiek XVI i XVII zawiera ich niewiele.

Starodruki mają różnorodny charakter pod względem treści, typografii i proveniencji. Pod względem pochodzenia można podzielić je na określone grupy. Do większych należą: biblioteka rodziny Zamojskich, biblioteka Akademii Zamojskiej, pewną partię stanowią książki z zapiskami poszczególnych profesorów Akademii, książki pochodzące z biblioteki Szymona Szymonowicza, część książek z zapiskami osób prywatnych oraz niewielka ilość dzieł pochodzących ze zbiorów klasztornych.

Z wymienionych tutaj zespołów proveniencyjnych na uwagę zasługuje partia książek pochodzących ze zbiorów bibliotecznych Szymona Szymonowicza. Książki te oprócz zapisków rękopiśmiennych, określających przynależność ich do księgozbioru Szymonowicza, mają także proveniencję biblioteki Akademii Zamojskiej i w większości exhibitis Stanisława Zamojskiego. Druki te są na ogół w dobrym stanie, czytelny napis na karcie tytułowej określa wyraźnie ich przynależność — „Ex libris Simonis Simonidae Leopollensis”, posiadają również dość dużo glos.

Zbiór obejmuje 27 pozycji stanowiących cenne „białe kruki” Biblioteki.



W czytelni ZOR Bronowice

Bogaty również jest zbiór materiałów pamiętnikarskich. Bardzo cenne wśród nich są wiersze bohaterów Powstania Listopadowego pisane na zesłaniu. Zbierał je skrzętnie sybirak, Wacław Lasocki. Henryk Wierciński, towarzysz Lasockiego, interesował się stratami materialnymi Lubelszczyzny i Kielecczyzny w okresie Powstania i zgromadził wiele cennego materiału.

Między innymi rękopisami mamy trzy ks. Ściegiennego. Jeden z nich to zbiór aforyzmów, który jest wykładem doktryny kapłana-rewolucjonisty. Pełny tytuł zbioru brzmi: „Aforyzmy, czyli racjonalne myśli do odszukania i oznaczenia źródła nieszczęśliwości ludzkiej trapiących”.

Nie mniej cenne są starodruki (około 15.000). Niektóre są jeszcze w opracowaniu, inne czekają na swoją kolej nie udośćpionne jeszcze czytelnikowi. Cały zbiór z XV w. w liczbie 27 tomów to „białe kruki”. Z XVI w. znajdujemy tu jedyny w Polsce egzemplarz dramatu mieszczańskiego „Sąd Parysa” Lochera, wykonany przez drukarza Wietora. Jest tu słynny „Psalterz Dawidów” Kochanowskiego, wydanie z 1587 r., są „Disticha” Historiusa (około 1611 r.), jest gramatyka Donatusa pt. „Elementa” z 1791 r. Do wielkich rzadkości należą stare zielniki Falimirza pochodzące z 1534 r., jest sporo książek z biblioteki króla Zygmunta Augusta, jest również nieznanego autora „Zośka czyli wiejskie zaloty” — oryginalna opera w jednym akcie. Starodruki są w dobrym stanie i mieszczą się w magazynie na IV piętrze gmachu bibliotecznego. O nich udziela mi informacji kierowniczka tego działu, pani Celestyna Nieścior.

Do bogactw Biblioteki Łopacińskiego należy także kartografia. Posiadamy np. Atlas Merkatora drukowany po łacinie w Amsterdamie w Oficynie Jan-

kę. Zaznaczyć tu trzeba, że w olbrzymiej większości personel Biblioteki posiada wyższe wykształcenie i jest zespołem ludzi wyjątkowo przydatnych i rozmówianych w książkach. Więcej nikt tu nie zarabia.

Ludzie i jeszcze raz ludzie... Panna Zofia Polakówna, której pieczy powierzony jest magazyn, pracuje w Bibliotece od 1935 r. W gabinecie dyrektora Biblioteki Bolesława Grzelaka mówiono mi o panie Polakównie, że potrafi płakać nad książką, której coś się stało, że postawiła całą Bibliotekę na równe nogi, gdy w magazynach zepsuła się regał i trzeba było jak najszybciej naprawić dla dobra książek. Opowiada mi o niej, jako o człowieku, który tak kocha książki, że nie mógłby bez nich żyć.

„Było nas czworo” — mówi panna Polakówna, gdy rozmawiam z nią wreszcie w jej kąciku na pierwszym piętrze magazynu, przy malutkim biurku, wśród szeregów regałów ściśle wypełnionych szacownymi woluminami — „to znaczy: pani kierowniczka Kazimiera Gawarecka, która tu pracuje od 1924 r., ja, chłopiec i sprzątaczką. To był początek mojej pracy w Bibliotece. Mieściła się ona wówczas w Trybunale i liczyła już około 60.000 tomów. Łatwo sobie wyobrazić, jaka to była praca w tak szupłym zespole, w złych warunkach lokalowych i przy braku gotówki. A pani Gawarecka, której zawdzięczam całe moje wykształcenie, była bardzo wymagająca. Bez tego jednak nie byłabym dziś tak fachowo przygotowana do naszej trudnej pracy...”

Panna Polakówna opowiada mi jak było za Niemców, mówi o niemieckim kierowniku Biblioteki, Kuczabskim. Pewnego dnia kazał on pakować książki do skrzyń, a na pytanie, dokąd te książki pójdą (niemieckie), odpowiadał



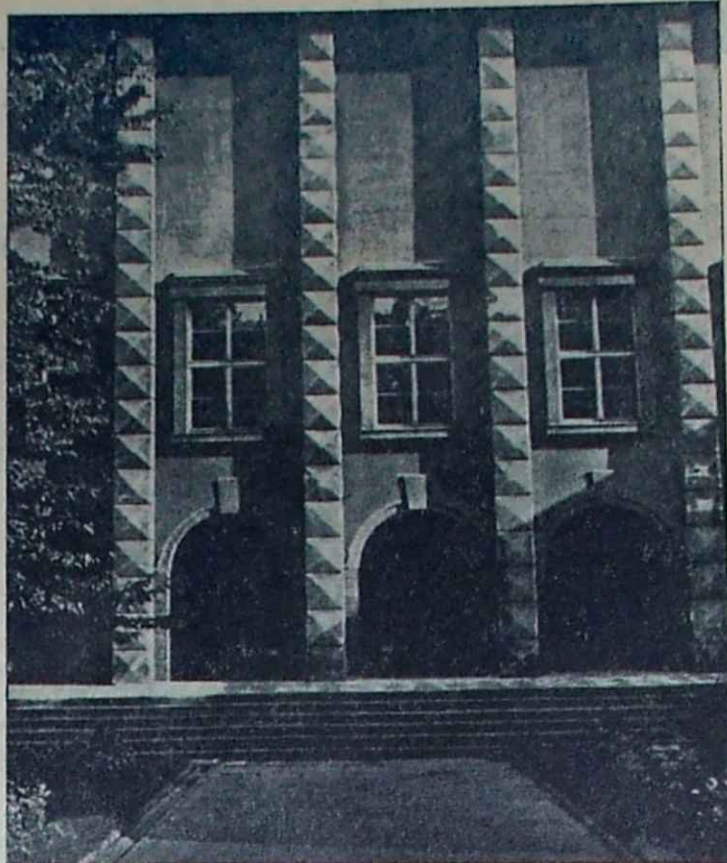
(Dokończenie na str. 8)

PATRZĄC na gmach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego przy ul. Narutowicza 4 widzimy wyraźnie konglomerat budowli z różnych okresów czasu.

Główny człon gmachu z podcieniem to budowla XX wieku. Wystawiono ją w latach 1935 — 38 według projektu architekta Stanisława Łukasiewicza jako siedzibę Instytutu Lubelskiego muzeum i biblioteki. Lubelski Związek Pracy Kulturalnej (później przekształcony w Instytut Lubelski) rozpisal w 1934 r. konkurs zamknięty na szkicowy projekt własnego gmachu, nawiązującego do istniejących zabytkowych budynków Muzeum Lubelskiego. Program budowy obejmował: 1. pomieszczenie dla biblioteki publicznej na 100.000 tomów wraz z czytelnią, 2. sale dla muzeum, 3. sale dla wystaw bieżących, 4. pomieszczenie dla Zarządów Stowarzyszonych organizacji, 5. lokal klubowy, 6. mieszkanie dla kustosa i służby.

Sąd konkursowy stanowili: ówczesny kurator Okręgu Szkolnego Stanisław Lewicki, inż. arch. prof. Zdzisław Mączka, inż. arch. dr Lech Niemojewski — profesor Politechniki Warszawskiej, konserwator lubelski — dr Ksawery Piwocki, inż. arch. Bohdan Kelles-Krauze, inż. arch. Jan Najman. W gmachu tym mieszczą się obecnie czytelnie, magazyn księgozbioru (który dawno przekroczył liczbę 100.000 tomów), pracownie, kancelarie biblioteczne oraz sale wystawowe. Budowla ta jest ciekawą próbą połączenia nowoczesnej w linii i wyrazie architektury gmachu z zabytkową zabudową, jaką są pawilony po-pijarskie przylegające do nowego gmachu. Są to dwie boczne oficyny architektonicznie różniące się wyraźnie od gmachu głównego. Powstały jako budowle renesansowe, po licznych przebudowach noszą zewnętrznie charakter skromnych budowli barokowych z piętnem przebudowy w wieku XIX.

Sięgnijmy do ich historii. Oficyny te stoją na gruntach należących w drugiej połowie XVI w. do Marcina Skowieskiego, który darował te tereny stopniowo na fundacje klasztorne. Terenem tym był „cały plac począwszy od muru pp. Brygidek, ciągnący się ulicą P. Marii zwaną aż po drogę



Fot. E. Hartwig

Z PRZESZŁOŚCI GMACHÓW BIBLIOTECZNYCH

Maria Gawrecka

y ulice między XX Bernardynami i pałacem Tarłowskim” (dziś Lic. Ogólnokształcące). W końcu XVII w. prawa oficynę nabył Rafał Sarbiewski (zwaną ją odtąd kamienicą Sarbiewskich) i odsprzedał w 1682 r. Jarostawowi Podhorodyńskiemu; w 10 lat później kupił ją Kazimierz Niemyski i odsprzedał Mikołajowi Moszyńskiemu, który w roku 1732 przekazał tę kamienicę na siedzibę XX Pijarom. Lewa oficyna, zwana kamienicą Prażmowskich i do nich należąca, została odsprzedana w końcu XVII w. Niemyskiemu. Wdowa po Niemyskim sprzedała ją w 1720 r. w/w Mikołajowi Moszyńskiemu, który ją przekazał w roku 1732, podobnie jak oficynę prawą, na Oratorium XX Pijarom. Aż do czasu przeniesienia swej siedziby do Łukowa mieli tutaj pijarzy swoją rezydencję.

W r. 1819 gmachy po-pijarskie zostały nabyte dla miasta i przebudowane na szpital wojskowy oraz kwatery lekarzy. W końcu XIX wieku sprzedano je w ręce prywatne rodziny Jaworowskich, a w r. 1915 nabyło je na własność Towarzystwo Muzeum Lubelskiego i zajęło się ich odnowieniem. W latach 1935—38 oficyny te zostały włączone w obręb wspomnianego projektu na nowy gmach biblioteki i muzeum.

W czasie działań wojennych w 1939 r. bomba lotnicza uszkodzona została prawa oficyna, która po remoncie została wykorzystana na magazyny książek.

Na szczególną uwagę zasługuje we wnętrzu oficyny lewej na I piętrze zachowany dotychczas strop belkowy z sosnów i napisem „Anno Dni 1640 Die 20 Aprilis”.

Po częstych doraźnych naprawach gmachu w latach naszego dwunastolecia, w roku 1956/57, na 50-lecie istnienia Biblioteki im. H. Łopacińskiego, przystąpiono do bardziej gruntownego remontu i zabezpieczenia budynków oraz stworzenia lepszych warunków dla pracowników i samego księgozbioru. Prawe skrzydło zajęły zbiory specjalne i Ośrodek szkoleniowo-metodyczny, lewe skrzydło (na parterze) wykorzystano na magazyn książek, na I piętrze umieścili się Zbiory Specjalne Biblioteki UMCS.

Aleksander Jaworowski — przyjaciel Hieronima Łopacińskiego

Aleksander Roman Jaworowski był jednym z tych, którzy w roku 1906 zajęli się zabezpieczeniem cennego księgozbioru po zmarłym Hieronimie Łopacińskim i prace jego na odcinku gromadzenia zbiorów kontynuowali dla dobra ogółu społeczeństwa. Jaworowski urodził się w Puławach w 1849 r. Pochodził z rodziny rzemieślniczej (ojciec jego miał w Lublinie warsztat stolarski). W latach szkolnych przyjaźnił się on z Bolesławem Prusem, Julianem Ochowiczem, Aleksandrem Świętochowskim. Mieli oni duży wpływ na jego umysł, wyrobienie poglądów i przekonań. Tutaj należy szukać początków jego zainteresowania się ideą pracy organicznej. To zdecydowało o wyborze zawodu — praca dla innych. W związku z tym wstępuje na Uniwersytet Warszawski, na medycynę, którą kończy w r. 1874. Odtąd pracuje bez przerwy w Lublinie. Zostaje dobrym, troskliwym lekarzem, umiejącym wykorzystywać niemal każdą minutę na dokonanie czegoś pożytecznego. Organizuje bezpłatne ambulatorium dla niezamożnych, urządza salę sierot, „jedną z najpiękniejszych instytucji lubelskich”. Jest długoletnim prezesem i czynnym działaczem Towarzystwa Lekarskiego. Humanista z zamiłowania, zorganizował przy Towarzystwie bibliotekę, sam pracując nad katalogami i prowadząc ją do końca swego życia. Sprawę zorganizowania Biblioteki Publicznej w myśl intencji Hieronima Łopacińskiego uważał za jedną z donioślejszych dla rozwoju kulturalnego miasta.

Jako jeden z organizatorów Towarzystwa Przyjaciół Biblioteki im. H. Łopacińskiego, zajmował się jej podstawami materialnymi, będąc od r. 1913 skarbnikiem Towarzystwa, a później do końca swego życia (um. 1924) jego stałym prezesem. Jemu w dużym stopniu zawdzięcza Biblioteka istnienie i roz-

wój. Jaworowski kieruje opracowaniem księgozbioru, pracuje nad katalogiem tzw. rozumowym, zajmuje się doborem i uzupełnianiem księgozbioru, walczy o podstawy materialne biblioteki.

Jedną z najdonioślejszych prac, jakiej dokonał doktor Jaworowski dla biblioteki, było opracowanie „Katalogu Rękopisów Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie” z 1314 pozycjami oraz

dotadku do katalogu z 414 pozycjami.

Jaworowski kontynuował swe dzieło dokumentacji księgozbioru, gdy mu czas na to pozwalał.

W r. 1918 zjawiał się jego przyczynek na temat „Zamosciana w Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie” w „Kronice Powiatu Zamojskiego” (10.IX.1918, nr 14) z wykazem pozycji drukowanych i rękopiśmiennych na przestrzeni lat 1597—1830.

Czym i kim był dla Biblioteki dr Jaworowski, czytamy o tym w „Notatniku z Lublina” Bolesława Prusa: „...zawsze ma czas i wszystko czego się podejmie robi dokładnie. Gdy potrzeba, potrafi być opiekunem, skarbnikiem, bibliotekarzem, klasyfikatorem zbiorów muzealnych, archiwistą, który odczytuje i porządkuje stare dokumenty itd. działając bez hałasu, nawet bez rozgłosu. Doskonala machina, o której mówią inżynierowie, że: daje maksimum pracy i idzie cicho.”

A że cenil Prus Jaworowskiego (z którym łączyła go stała przyjaźń) jako wyjątkowego człowieka, zawsze uczynnego, niestrudzonego pracownika, mówią nam słowa z jego listu... „Mój kochany Olesiu, taką już masz naturę, że musisz ludziom robić dobrze... Mój drogi, ja bardzo często stytam się z ludźmi, którzy usposabiają do głębokiego pesymizmu. Gdy więc zdarzy się taki jakim Ty jesteś, prawie zdumiewam się i mówię: na to widzieć zdarzają się kłopoty, aby poznać świat z lepszej strony...”

Na uroczystym zebraniu Tow. Lekarskiego poświęconym pamięci Doktora Aleksandra Jaworowskiego, wśród wielu jego czynów społecznych nie zapomniano i o bibliotecze, bo „praca nad utworzeniem i zapewnieniem bytu Biblioteki im. H. Łopacińskiego zdobyła sobie serca wszystkich Polaków...”

Maria Gawrecka

Białe kruk

(Dokończenie ze str. 7)

1. Fratres [b. r.], 2^a, Prow. 1. Simonis Simonidae, 2. Z Bibliothek Ordynacji Zamojskiej roku 1815 [exlibris]. Opr. pergamin.
2. Aeschylus — Tragoediae VII, [b. m.] Ex off. Henrici Stephani 1537, 4^a. Prow. 1. Ex libris Simonis Simonii Leopollensis 2. Ex bibliotheca Simonis Simonidae 3. Donatus Bibliothecae Acad. Zamosc. Glosy, Opr. pergamin.
3. Ammianus Marcellinus — Gestarum rerum libri..., [b. m. dr. r.], 8^a, Def. brak karty tyt., Prow. 1. Ex libris Simonis Simonidae 2. Legatus Bibliothecae Academiae Zamosc. 3. Ex Bibliotheca CO Zamojski [exlibris] Glosy, Opr. pergamin.
4. Aratus — Phainomena kai diosemeia..., Parisiis Apud Guil. Morellum in graecis typographum regium 1539, 4^a. Prow. 1. Simonis Simonidae 2. Donatus Bibliothecae Acad. Zamosc. 3. Ex Bibliotheca CO Zamojski [exlibris]. Opr. karton.
5. Aristoteles — Ethicorum sive de moribus ad Nicomachum libri decem. Francofurti Apud her. Andr. Wechell 1584, 4^a. Prow. Ex libris Simonis Simonidae Leopollensis. Oprawy brak. Glosy.
6. Athenael dipnosophistarum sive coenae sapientium libri XV. Venetiis Apud Andr. Arrivabenum 1556, 2^a. Prow. 1. Ex libris Simonis Simonidae 2. Donatus Bibliothecae Acad. Zamosc. Glosy, Opr. brunat. deska, wycisk śl.
7. Augustinus Aurelius s. — Quintus tominus operum, Basileae Froben 1542, 2^a. Prow. 1. Ex Bibliotheca Simonis Simonidae 2. Legatus ab eodem Bibl. Acad. Zamoscensis. Opr. Skóra brunat. wycisk, ślady klamer.
8. Bodinus Ioannes — De republica, Francofurti Apud Ioann. Wechellum 1591, 8^a. Prow. 1. Ex Bibliotheca Simonis Simonidae 2. Donatus Bibl. Acad. Zamosc. Opr. Skóra brunat. wycisk, ślady klamer.
9. Boethius — Scotorum historiae a prima gentis origine, Parisiis Jacobo du Puy 1575, 2^a. Prow. 1. Ex Bibliotheca Simonis Simonidae 2. Legatus Bibl. Acad. Zamosc. 3. Z Biblioteki Ordynacji Zamojskiej rok 1815 [exlibris] Opr. pergamin.
10. Cicero M. T. — Opera omnia..., Lugduni Apud Antonium Gryphium 1535, 2^a. Prow. 1. Simonis Simonidae 2. Casparis Solicii 3. Cessit Bibl. Acad. Zamosc. 4. Ex Bibliotheca CO Zamojski [exlibris] Opr. Skóra łożta, wycisk, ślady klamer.

11. Cicero M. T. — Operum t. 3, 4, Lugduni Apud Antonium Gryphium 1535, 2^a. Prow. 1. Simonis Simonidae 2. Casparis Solicii 3. Cessit Bibl. Acad. Zamosc. Glosy, Opr. Skóra łożta, wycisk, ślady klamer.
12. Dinner Conradus — Epithetorum graecorum farrago locupletissima, Francofurti Apud Andr. Wechell her. 1589, 8^a. Prow. 1. Ex libris Simonis Simonidae Leopollensis 2. Donatus Bibl. Acad. Zamosc. 3. Z Biblioteki Ordynacji Zamojskiej [exlibris]. Opr. pergamin.
13. Dubravius Joannes — Historia Boemica, Basileae Apud Petrum Pernam 1575, 2^a. Prow. 1. Ex libris Simonis Simonidae Leopollensis 2. Donatus Bibl. Acad. Zamosc. 3. Biblioth. Ordinationis Zamoscianae [pleczęć]. Nieopr. grzbiet książki wzmoconym paskami z pergaminowego rękopisu, ślady inicjałów.
14. Fallopius G. — [Opera medica], [b. m. dr. r.], 2^a. Def. Brak karty tyt. Prow. 1. Ex Bibliotheca Simonis Simonidae 2. Legatus ab eodem Bibl. Acad. Zamoscensis 3. Ex Bibliotheca CO Zamojski [exlibris] Glosy, Opr. karton.
15. [Forestus Petrus] — Observationum et curationum medicinalium libri, [b. m. dr. r.], 8^a. Def. Brak karty tyt. Prow. 1. Ex libris Simonis Simonidae Leopollensis 2. Petrus Forestus legatus Bibl. Acad. Zamosc. Nieopr.
16. Junius Hadrianus — Nomenclator omnium rerum propria nomina variis linguis explicata Indicans, Antverpiae Excud. Christ. Plantinus 1576, 8^a. Prow. Ex libris Simonis Simonidae Leopollensis. Glosy, Nieopr.

Należy zaznaczyć, że zamieszczone tutaj opisy poszczególnych dzieł są sporządzone na podstawie kart tytułowych bez oparcia o źródła bibliograficzne. Stąd też po przeprowadzeniu dokładnej identyfikacji opartej na źródłach bibliograficznych mogą powstać pewne różnice w opisie poszczególnych wydawnictw. Zestawienie powyższe jest zestawieniem o charakterze informacyjnym, ma na celu zapoznanie i zasygnalizowanie badaczom i naukowcom polskim o istnieniu w zbiorach biblioteki książek pochodzących z księgozbioru Szymona Szymonowicza.

Celestyna Nieścior

* Z przyczyn technicznych zamieszczamy tylko 18 spośród 37 opisanych pozycji (R e d).

Zamieszczając wypowiedź mgr. Rosiaka na prawach głosu w dyskusji, uważamy, że dana przez niego ocena podręcznika dla klasy XI jest za surową, a przede wszystkim niedostateczną, a przede wszystkim niedostateczną, a przede wszystkim niedostateczną. Mamy nadzieję, że nasi czytelnicy — poloniści zabiorą jeszcze głos w tej sprawie.

Redakcja

UWAGA wstępna. Zdajemy sobie sprawę, że większość braków, które zaciążyły nad podręcznikiem literatury polskiej dla klasy XI — wiąże się przede wszystkim z obowiązującymi do niedawna programami. Niemniej jednak braki te trzeba zasygnalizować, idzie bowiem o rzecz ważną — o przydatność podręcznika w obecnych warunkach. Próbowałem pytać o to kilku polonistów, uczących w szkołach średnich. Indagowany albo przyznawał się, że nie zna książki, bo od dawna przestał używać podręczników, w których więcej było publicystyki, historii ruchu robotniczego oraz „ideologii” niż literatury, albo też, jeśli nawet pracą Matuszewskiego¹⁾ trafiła do jego rąk, odłożył ją z przeświadczeniem, że nie warto do niej powracać.

A oto najważniejsze zarzuty, jakie nasuwają się przy lekturze podręcznika.

Na początku sporej, 450-stronicowej książki (uzupełnionej nie o wiele mniejszą antologią) znajdujemy również obszerny, prawie 50-stronicowy wstęp. Celem jego jest wprowadzenie w okres 20-lecia i ukazanie literatury polskiej w szerokim kontekście literatury światowej. Niestety realizacja tego słusznego zadania pozostawia nieco do życzenia. Znajdujemy co prawda zadowalające naświetlenie literatury radzieckiej, gorzej natomiast przedstawia się literatura krajów kapitalistycznych: Francji, Niemiec, Anglii i Ameryki. Autor wystawia tutaj poszczególnym krajom i pisarzom bardzo skromne, krótkie i jednostronne cenzurki, zwracając uwagę najczęściej tylko na problematykę twórczości i wartości ideowe. Pisząc o Francji, pomija zupełnie Eluarda, poprzestaje na wymienieniu Mauriaca, a Aragonowi poświęca 1 zdanie. Jeszcze bardziej rażąca dysproporcja towarzyszy omawianiu literatury niemieckiej. Tomasz Mann okupuje co prawda całą stronę, lecz dla pozostałych pisarzy niemieckich przeznaczono zaledwie kilka zdań. I tak w jednym zdaniu mieszczą się: Zweig, Feuchtwanger i Kellerman, w dwu: Weinert, Becher, Wolff i Seghers; Brecht doczekał się osobnego zdania. Wiele głosów w literaturze spotykamy przy literaturze angielskiej i angloamerykańskiej, np.: „Teodor Dreiser (1871—1945), autor słynnej powieści „Tragedia amerykańska” czy też „znany powieściopisarz Howard Fast (ur. 1914), autor cennych powieści „Obywatel Tom Paine”, „Droga do wolności”, „Clarkton”, „Spartakus” i in.” Dreiser, Sinclair Lewis „zasłużyli sobie” do spółki na jedno zdanie, Steinbeck i Faulkner mają własne jednozdaniowe etykiety, a Hemingway został zaszczycony aż 4 zdaniami. Tego rodzaju encyklopedyczny zarys bezwzględnie nie spełnia swej roli, tym bardziej, że w dalszym ciągu, przy omawianiu literatury polskiej, brak odwoływania się i nawiązywania do wstępu.

NIEMNIEJSZE zastrzeżenia budzi właściwa część podręcznika, poświęcona ocenie literatury polskiej. Omawiając pobieżnie nowe kierunki w sztuce początków XX wieku autor wprowadza wiele terminów i nazwisk zaopatrzonych w ekonomiczne etykiety. Weźmy dla przykładu jedno zdanie: „Chociaż teoretyczne założenia ekspresjonizmu miały charakter wyraźnie idealistyczny, a więc trudny do pogodzenia — we współczesnej epoce — ze światopoglądem konsekwentnie postępowym, to jednak niektórzy artyści związani z tym kierunkiem wyrażali w swych dziełach i to w sposób bardzo ostry i zdecydowany uczucia buntu i protestu przeciw burżuazyjnemu społeczeństwu, niesprawiedliwości społecznej, imperializmowi i wojnie”.

Od takich zwrotów i definicji podnoszących wyłącznie lub prawie wyłącznie sprawy ideologiczne aż się roi w podręczniku.

Zdecydowanie fałszywy obraz znajdujemy w rozdziale „Układ sił ideowych”. W 3 wielkich workach z napisami: „Rewolucja”, „Postępowa demokracja” i „Reakcja” mieści się cała literatura 20-lecia. Na pierwszy plan autor wysuwa oczywiście nurt litera-

tury proletariackiej. Na drugim miejscu znajduje się odgrywający coraz poważniejszą rolę nurt postępowo — demokratyczny. Trzeciemu obozowi poświęcono tylko skrawek miejsca, a ocena jest tak charakterystyczna, że warto ją zacytować: „Złudzenia na temat roli pilsudczyzny towarzyszyły przez długi czas wielu pisarzom dwudziestolecia i rozwiewały się dopiero stopniowo w miarę procesu faszystacji w Polsce”.

Pewna grupa pisarzy zachowała jednak te złudzenia do końca, a niektórzy z nich, na przykład powieściopisarze Waclaw Sieroszewski i Juliusz Kaden-Bandrowski, poeta Kazimierz Wierzyński brali bardzo czynny udział w propagowaniu kultu Pilsudskiego i w głoszeniu sanacyjnej ideologii. Inny prozaik związany z sanacją, Ferdynand Goetel w swej publicystyce jawnie pochwalał faszystowskie metody rządzenia”.

HIERARCHIZACJI ideologicznej autorów odpowiada ilość miejsca, poświęcona im w podręczniku. Broniewskiemu przeznaczono 33 strony, Kruczkowskiemu — 23, Wasilewskiej — 14, Staffowi — 13, Szymańskiemu — 4, Jasielskiemu i Dobrowolskiemu — po 3; Parandowski i Kaden-Bandrowski mają po 1 stronie. Po pół strony otrzy-

skórych owocem jest kilka pozycji poświęconych Śląskowi, jak np. „Wielcy i mali”, „Nieznan kraj” (utwór nagrodzony w 1932 r. nagrodą literacką Śląska), o twórczości dla młodzieży z arcydziełem „Kłopotami Kacperka, górskiego skrzata” na czele. Aż się prosi o wprowadzenie do lektury i miejsce w podręczniku najlepszy obok „Starej baśni” Kraszewskiego utwór poświęcony początkom naszych dziejów — „Gród nad jeziorem”. Podobnie jest z twórczością Juliusza Kadena-Bandrowskiego, którego Matuszewski dyskredytuje za związek z obozem sanacji, służbę Pilsudskiemu i naturalistyczny sposób widzenia świata. O walorach artystycznych jego utworów, doskonałej kompozycji powieści, wielkiej emocjonalności dzieł nie ma mowy. Gdyby nawet Kaden napisał tylko: „Miasto mojej matki” i „Aciaki z I-szej A” — to i tak należałoby mu się więcej miejsca i uznania, a fragmenty z tych utworów powinny się znaleźć w Antologii. (np. rozdział pt. „Niejaki Kastalski” z „Miasta mojej matki”).

W „Antologii” jest stanowczo za mało utworów lirycznych, notabene po macoszemu traktowanych i w podręczniku. Brak wierszy Lecho-

i inni. Wszyscy ci uczeni stosowali metody badawcze, których podłożem był światopogląd idealistyczny, toteż pewne ich tezy o charakterze ogólnym, światopoglądowym współczesna nauka marksistowska poddaje niekiedy rewizji. Nie przekreśla to w najmniejszym stopniu ich ogromnego dorobku w dziedzinie badań i ustaleń szczegółowych”.

Jeśli chodzi o literaturę Polski Ludowej, rzuca się od razu w oczy fakt, sugerujący paradoksalny wniosek, że bodaj najwybitniejszym lub jednym z najwybitniejszych pisarzy Polski Ludowej jest Lucjan Rudnicki.

Jego powieści pt. „Stare i nowe” przeznacza Matuszewski aż 18 stron, a więc więcej niż twórczości Staffa, Boya i in. pisarzy. Drugie miejsce zajmuje „Pamiętka z Celulozy” Newerlego, którą autor analizuje podobnie jak „Przedwiośnie”, prawie wyłącznie od strony ideologicznej, doczeplając przy końcu analizy wybrane uwagi o formie. Przeczenia się także twórczość Putramenta, zapominając o takich dziełach innych pisarzy, jak „Mickiewicz” Jastruna, „Kształt miłości” — Broszkiewicz, „Portret Słowackiego” — Herta i wielu innych utworach, które zostały tylko wymienione przy niesłychanie skrótovej ocenie prozy historycznej (1 strona). Względnie ideowe nie pozwoliły należycie ocenić twórczości Gołubiewa, kazaly zapomnieć o Dobraczyńskim, czy też „Kamieniach na szaniec” — Kamińskiego. Nie ma nawet wzmianki o „Poemacie dla dorosłych” Ważyka, zastrzeżenia budzi brak w „Antologii” fragmentów „Niobe”, „Wita Stwosza” czy niektórych pięknych liryków Gałczyńskiego (np. „Pieśń o fladze”). W ogóle razi powierzchowna ocena literatury, ograniczająca się często do wyliczania lub kwitowania pisarzy jednym zdaniem. Dla przykładu można przypomnieć, że na omówienie całej twórczości dramatycznej Polski Ludowej autor potrzebuje tylko pół strony.

PISANIE podręczników w naszych czasach jest zadaniem szczególnie niewdzięcznym i już sam fakt podjęcia się tego arcytrudnego zadania w poważnym stopniu rozgryza Matuszewskiego z popełnionych błędów. Krytyk włożył w podręcznik wiele pracy, wprowadzając do niego szereg nowych nazwisk, jak: Jasielski, Stande, Wandurski, Czechowicz i in., spróbował także, jakkolwiek z negatywnymi jeszcze ocenami, wprowadzić pisarzy „reakcyjnych”, jak Kossak-Szczuczka czy Kaden-Bandrowski, o których jeszcze wczoraj nie można było mówić. Matuszewski dużo miejsca poświęca faktom biograficznym, opisuje np. dokładnie pogrzeb Zeromskiego, co zbliży postać pisarza do młodzieży.

Na bene podręcznika należy podkreślić, że odznacza się niezwykle staranną szatą graficzną.

Sumując powyższe uwagi wypadnie stwierdzić, że nowy podręcznik Matuszewskiego w obecnej sytuacji wydaje się już nieco przestarzały.

¹⁾ Ryszard Matuszewski — Historia literatury polskiej 1918 — 1955 dla klasy XI. Warszawa 1956 P.Z.W.S. s. 460.

— Antologia do historii literatury polskiej 1918 — 1955 dla klasy XI. Warszawa 1956. P. Z. W. S., s. 384.

O PEŁNY OBRAZ LITERATURY POLSKIEJ

ROMAN ROSIAK

mali m. in.: Strug, Berent, Kossak-Szczuczka, Gojawiczyńska, Wiktor i Morcinek. Wielu nazwisk zasługujących na pamięć w ogóle nie znajdujemy. Tak ma się rzecz z wszystkimi niemal pisarzami młodzieżowymi, jak — Makuszyński, Meissner, Fiedler, Ossendowski, Szelburg-Zarembina. Podobnie pominięto Wańkownicę, Kuncewiczową, Lechonia.

Ocena twórczości poszczególnych pisarzy 20-lecia nasuwa także niemało wątpliwości. Zeromskiemu autor poświęca co prawda sporo miejsca, ale dzieła jego ocenia prawie wyłącznie ze względu na ich treść. Oto tytuły niektórych rozdziałów: „Marzenia o Polsce sprawiedliwości społecznej”, „Stosunek do Wielkiej Rewolucji Październikowej”, „Utopie społeczne”, „Realizm Zeromskiego”, „Prawda o życiu mas ludowych w ustroju kapitalistycznym”, „Protest przeciw krzywdzie społecznej” itd. Ostatni dopiero rozdział „Właściwości artystyczne prozy Zeromskiego. Język „Przedwiośnia” informuje o walorach artystycznych dzieł wielkiego powieściopisarza, o czym (poza sposobem charakteryzowania postaci w „Przedwiośniu”) nie było poprzednio mowy. Wydaje się, że słusniejsze byłoby wprowadzenie zamiast ostatniego rozdziału o wybranych cechach prozy pisarza — syntezy mówiącej o trwałych wartościach ideowo-artystycznych twórczości Zeromskiego. Warto także pomyśleć i o tym, by w „Antologii” znalazło się miejsce dla fragmentów tych dzieł Zeromskiego, które nie są objęte programem, np. „Puszczą jodłowa”, „Wiatr od morza” i in.

Krzywdzący jest sąd krytyka o Zofii Kossak-Szczuczkiej. Trudno poprzestać na wymienieniu 2 tytułów: „Złota wolność” i „Krzyżowcy” i na stwierdzeniu, że „w zasadzie Kossak-Szczuczka stała jednak na stanowisku obrony polityki kościoła, uważając ją za słuszną i dalekowzroczną. Budzenie zainteresowań dla przebrzmiałych problemów walk religijnych, dopatrywanie się w nich centralnego zagadnienia w historii nie wyrażało postępowych dążeń epoki. Odwracało uwagę od dużo istotniejszych problemów historycznych, sprzyjało reakcyjnemu tendencjom do podtrzymywania fałszywej legendy o rzekomej historycznej roli Polski jako „przedmurza chrześcijaństwa”, której aktualny sens polityczny sprowadzał się do hasła walki z komunizmem”. Twórczość Kossak-Szczuczkiej jest przecież bardzo bogata i różnorodna. Obok problematyki historycznej i religijnej, trzeba pamiętać i o zainteresowaniach regionalnych,

nia i Wierzyńskiego, tylko 3 zdania o powojennej twórczości poetyckiej Iwazkiewicza, brak pięknych wierszy lirycznych Słonimskiego, Tuwima i Broniewskiego, których reprezentują prawie wyłącznie utwory o problematyce społeczno-politycznej. Podręcznik sugeruje czytelnikowi fałszywy sąd o Broniewskim, który jest przecież równie wielkim artystą w liryce, jak i w utworach rewolucyjnych, tymczasem wśród 24 jego wierszy w „Antologii” na palcach jednej ręki można policzyć wiersze tego typu, co „Trumna jejonowa” i „Obietnica”. Nie wystarczy wymienić „Lokomotywy”, by skwitować w ten sposób jakże piękne i bogate utwory dla dzieci, pisane przez Tuwima. Przy Słonimskim trzeba by zwrócić większą uwagę na jego żarliwą obronę Boya i niezwykle odważne i dające wiele cennego materiału do poznania 20-lecia „Kroniki tygodniowe”, którym należy się kilka stron w „Antologii”.

Uboga jest wiedza podręcznika o Boyu. Autor wymienia tylko 2 wiersze ze „Słówek” — o Michaliku i o Styce, w „Antologii” dodając jeszcze „Pieśń o ziemi naszej”. Bez obawy o mocniejsze wrażenia można przecież polecić młodzieży do przeczytania więcej wierszy Boya: „Z podróży Lucjana Rydla na Wschód”, „Lament pana radcy nad „Basztą Kościuszką”, „Kuplet footballisty”, „Pomnikomania krakowska”, czy też „Opowieść dziadkowa o cudach rapperswylskich”. Z liryków można przypomnieć chociaż „A kiedy przyjdzie...”. Niesłusznie pominięta została w „Antologii” kampania Mickiewiczowska, gdy dla szkiców o Fredrze znalazło się aż 21 stron. Trudno sobie wyobrazić lepszą satyrę na stosunki w Polsce przedwzrostowej niż „Domek z kart” Zegadłowicza, który z pewnością reprezentuje wyższy poziom niż przeceniona „Rzeczywistość” Putramenta.

Stanowczo po macoszemu potraktowana została krytyka literacka oraz historia literatury w 20-leciu. Poza Irzykowskiem (1 strona) i Fiklem (pół strony) historykom literatury poświęcono kilka sumarycznych zdań. Oto one: „Zagadnienie, którego nie będzie my tu szerzej rozwijać, stanowi wreszcie dorobek dwudziestolecia w dziedzinie historii literatury. Składają się nań prace takich wybitnych uczonych jak Ignacy Chrzanowski (1866—1940), Stefan Kołaczowski (1887—1940), Juliusz Kleiner (ur. 1886), Waclaw Borowy (1890—1951), Stanisław Pigoń (ur. 1885), Julian Krzyżanowski (ur. 1892)

O czym pisała „Kamena” przed 20 laty

Podwójny numer „Kamena” za maj i czerwiec r. 1937 był w całości poświęcony współczesnej literaturze słowackiej. Zawierał artykuł wstępny Andreja Mraza „Drogi współczesnej poezji słowackiej” i utwory prozaików i poetów (Milo Urban, Janko Jesensky, Martin Razus, Emil Lukacz, Vladimir Roiko, Jan Smrek, Andrej Zarnov, Masha Halamova, Valentin Beniak, Jozef Niznansky, Ludo Ondrejov, Franio Kral, Laco Novomesky, Jan Rob Ponicz, Pavel Hibina, Rudolf Dilong) w przekładach Antoniego Brosza, Kazimierza Andreja Jaworskiego, Zdzisława Kempfa. Numer uzupełniały trzy wkładki linorytowe Zenona Wańkiewskiego, przedstawiające portrety pisarzy: Jana Smreka, Laco Novomeskiego i Rudolfa Dilonga.

ANATOL STERN WYKŁĘTY

Pamięci Leonarda Podhorskiego-Okołowa

Już od pierwszej chwili zaczęły się znaki.
Gromnice nagle zgasty i ksiądz się pośliznął,
ktoś ciemny wciąż chował i chował się za kimś,
ostaniały się anioły gipsową bielizną.

Ale to był początek... Bo kościół napęczniał
od tłumów niezwykłych: robron, fraczków, salop —
i nim jeszcze ktoś dotknął organów, zadźwięczał
jakiś klawisz — a potem jęk, orkan i galop!

Na chóry pomknął organista, wstrząśnięty.
A tam coś pędzi, cwałuje grzmącą klawiaturą —
aż pękło lśniące drzewo i puściło pędy...
I ktoś czarny wielkim skrzydłem zaszumił jak chmurą.

Zszarzałymi wargami „Jezus Maria...” wyrzekł,
ale ciągle coś rzezi w organowych płucach...
A ciemny ku poręczy coraz bliżej, bliżej —
i już zakłęcia z góry na tłum w dole rzuca!

I wtedy majaczenia, jakich nie znał Naso:
z fraków świerki wyjrzały, z salop — jodły, klony,
kwiczą, bzdą leśne diaski — o, boska obrazo! —
buzuje głuchym gąszczem tłum ze snu zbudzony.

Wtedy ksiądz zrozumiał. I nuż Pańską Męką,
i nuż tysiącletnie egzorcyzmów dzieło,
i wodą święconą... Aż tu czarne wieko
zsunąwszy się, z trzaskiem na płyty runęło!

A nad trumną zamiecią szaloną się kłębią
krzyki bólu, fantazmata i sny nieszczęśliwe...
To one walily w deski, szamocąc się z głębią,
aż wyważyły wreszcie wieko, jak para pokrywe.

Wstał.
Miedziany od ognia, co w nim zawsze pionał,
wybelkotał bezżębny: „Jam nie wasz, mój księże!
Przez wszystkie piekła mnie za życia wleczono,
przez wszystkie czarne piekła plugawych sprzysiężeń!

Tego mi nie wynagrodzi żadna antyfona,
ani wieczna ludzka pamięć. Może zapomnienie.
Jednego chcę dziś tylko: by na zawsze skonać.
Swej pogardy na nieśmiertelność waszą nie zamienię!

Więc zostawcie mnie w spokoju. Na nic mi te wieńce
i szarfy, którymi dziś mnie wiązać chcecie.
Wykłęty przez was, niczego od was nie chcę więcej —
a Stół Pański zostawiam tobie, katechecie”.

Zatrząsał się stary kapłan: „Przeklęty! Przeklęty!”
Popękała na skrzydłach anielskich pozłota,
spęły ochra i szkarłat z twarzy wszystkich świętych,
a tłum z płaczem, tłum z wyciem przez kościelne wrota.

Zdrętwieli karawaniarze w buciarach podartych —
a on się wznosił coraz wyżej i wyżej, i wyżej...
Aż straciły go z oczu anioły i czarty —
i tylko ksiądz patrzył w górę i żegnał się krzyżem.

CYTATY Z PLENUM

(Dokończenie ze str. 2)

jakich znajduje ona posłuch wśród pi-
sarzy krajów budujących socjalizm.

Przy tym obiektem napaści stają się
nie niedociągnięcia konkretnych utwo-
rów artystycznych, a właśnie to, co dla
nas wszystkich, dla pisarzy radzieckich,
jest drogą i świętą, co stanowi podstawę
podstaw wszystkich osiągnięć naszej
literatury: jej partyjność i realizm
socjalistyczny. W ustach polskiego kry-
tyka Jana Kotta, jak i w ustach niek-
tych innych polskich pisarzy, którzy
jeszcze niedawno — a my to pamięta-
my — głosili, że realizm socjalistyczny
jest panaceum na wszystkie literackie
niedostatki, zamienił się on od pewnego
czasu w straszak. Przy czym zupełnie
zatraciwszy poczucie humoru, starają się
oni rzucić całą winę za pojawianie się
spod ich pióra szarych, nudnych ksz-
tek na realizm socjalistyczny”.

A. Surkowi: „Niektórzy z naszych
polskich kolegów, protestujących prze-
ciwko jakoby uciskającemu literaturę
mieszaniu się partii i państwa w spr-
awy książek, pokazali w praktyce, że
wiatr ich oburzenia przyniósł burzę, nie
„odrodzenie literatury”, ale stek porno-
grafii i cynizmu... Przyglądając się te-
mu zamętowi, który w ostatnim okresie
objął niektóre koła w Polsce, na Wę-
grzech i w Jugosławii, postępującą się
szumnymi hasłami walki z rutyną
i skostnieniem — w imię nowatorstwa
— nie można nie zauważyć, że wszyscy
ci adepci nowatorstwa zwrócili swoją
oblicza nie naprzód, lecz wstecz, w stro-
nę wszelkich dawno już przed 60 i 50
laty wyrzuconych na śmietnik historii
różnych „izmów”.

Z przytoczonych chociażby wyżej nie-
których cytatów widać, że nazwiska
naszych pisarzy kilkakrotnie padają na
plenium. Oczywiście, ponieważ na ple-
num nie byłem, trudno mi oddać klimat
obrad. Wszystkie wyżej przytaczane cy-
taty wzięte są z pisma „Literaturnaia
Gazeta”.

m. j.

Berło

(Dokończenie ze str. 4)

Wziął na ręce krzyżącą w niebogło-
sy dziewczynkę, szybko ją uspokoił
i bez trudności badał małą nie stawia-
jącą już żadnego oporu.

Julka pomagała mu jak tylko mogła.
Stała przez cały czas przy wadze,
pieściła i uciślała niesfornych pac-
jentów, pełna szczerej radości. Chyba
pierwszy raz od jej przybycia Ośrodek
rozbrzmiewał takim krzykiem, płaczem,
dochozącym z sieni śpiewem, gwarem.
Zamiar Dobosza udał się całkowicie,
a teraz łatwiej pójdzie reszta. Dawno
zapomniała o swojej przykłej przego-
dzie. Nie miała palta, więc tymczasem
chodziła w płaszczu Strąkowej. Za ja-
kiś miesiąc kupi sobie w Jarowie nową
jesionkę.

JUŻ ściemniało się, kiedy ostatnia
z kobiet opuściła Ośrodek Zdro-
wia. Dobosz zdjął fartuch, odsapnął
i wymywszy ręce, usiadł pod ścianą.
Bołały go ręce, piekły nogi, ale krze-
piła radość z dokonanej pracy. „Kto
wie, może ten dzień stanie się przeło-
mem?” Takie i inne myśli chodziły mu
po głowie.

— Zmęczyła się pani... Mieliśmy ro-
boty jak nigdy!

— Żeby tak codziennie!

— I co, nie kłębą pani losu? Trzeba
mieć nie byle jakie zdrowie, by wy-
trzymać.

— Na szczęście mam je, panie dok-
torze...

— I ja, panno Julko! Zaledwie odsap-
nałem a już brałbym się do nowej ro-
boty...

Julka z zachwytem słuchała każdego
słowa doktora. Nie odrywała od niego
oczu. Wszystko, co robił czy planował
było dla niej szlachetne i piękne. Żeby
tylko skinał, poszłaby za nim w ogień
na samo dno piekła. Nie ulegało żadnej
wątpliwości, że dzień dzisiejszy powin-
nien stać się momentem zwrotnym w
działalności ich Ośrodka. Odtąd ten

ciasny opuszczony dom będzie już roz-
brzmiewał głosem licznych pacjentów,
ciągnących z różnych stron gminy.

Szła do domu starą, obieloną aleją.
Sypał gęsty śnieg, tworząc łagodne,
miękkie wzgórza rozświetlające ciem-
ności. Z północy pociągał ostry wiatr,
gryzł i szczypał w policzki. Ale Julce
było ciepło, chociaż odzież na sobie
miała lichą, a buty napelnily się chłod-
nych puchem. Zapomniała, że to noc,
kurzawa. Tak była przejęta tym, co
przeżyła w ciągu całego dnia pracy.

Wróciwszy do siebie od razu siadła
do obiadu przyniesionego przez Strą-
kową. Agnieszka zrzędziła, że Julka
przemęcza się niepotrzebnie. Już na-
wet schudła.

— A kto to widział tak harować!
Do czego to podobne? Niech panna
Julcia trochę pomyśli o sobie.

2.

5. XII. Nie wiem doprawdy, po
co i dla kogo spisuję te swoje
wspomnienia, ale zdaje mi się,
że będą one czymś w rodzaju

spowiedzi albo samotnej rozmowy z so-
bą. Podobno człowiek jest najwytrzy-
malszym stworzeniem pod słońcem,
lecz nieraz i te siły są słabe wobec o-
gromu trudności, jakie piętrzy przed
namy życie. Zdarza się, że najmocniej-
sza jednostka załamuje się, nie mogąc
sprostać podjętym zadaniom, nie umie-
jąc rozładować narastających konflik-
tów. Są ludzie osaczeni przez splot
najrozmaitszych okoliczności, przez wa-
runki, w jakich na codzien przebywa-
ją, przez własne błędy lub zwykły
przypadek. W takiej sytuacji mogą się
znaleźć i ja, jeśli nie zawrócę z nie-
bezpiecznej drogi. Myśli te płaczą mi
się po ostatnim spotkaniu z Kaslą.
Trzeba z tym u licha skończyć, bo gdy-
by, broń Boże, romans nasz podpatrzy-
ła któraś z dewotek, zaraz całe Ustro-
nie zatrzęsłoby się od szeptów i domy-
słów. „A to mason! A to barbarzyńca!”

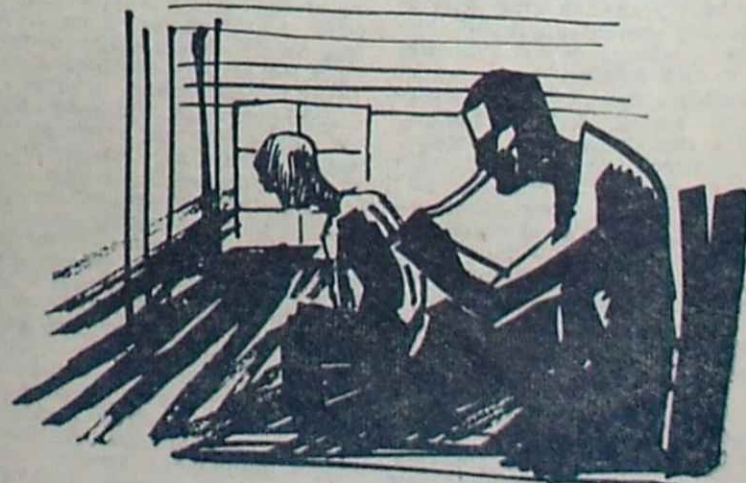
gadalyby tercjarki, wzdychając i u-
bolewając nad zepsuciem szerzącym
się w miasteczku. Poznając życie osady,
nie mogą jednak wytopić dróg, jakimi
plotka rozprzestrzenia się wśród tu-
tejszej ludności z szybkością większą
niż pożar, gwałtowniej niż epidemia.
Bez użycia murzyńskich tam-tamów.
Wystarczy, by w „kuźni” wszelkich osz-
czerstw, u Bekasów, powiedział ktoś
jakąś nowinę, a za godzinę już z do-
mu do domu leci wieść o niezwykłym
zdarzeniu. Np., w sklepie GS wykryto
manco, Hela Bartoszek chodziła z Fel-
kiem Kapustą do lasu, Golcówna ma
urodzić dziecko, a komendant Milicji
wstawił się na zabawie. Pośród tych
sensacyjnych historii mogą lada dnia
wścibić i piorunującą wiadomość o tym,
że doktor Dobosz umizga się do Dol-
niakówny, a dziewczyna jest już brze-
mienna. Tego należy za wszelką cenę
uniknąć. Przecież jako lekarz muszę
mieć tutaj należyty autorytet. W pi-
ciwnym razie lepiej zrezygnować z zaj-
mowanego stanowiska.

6. XII. Dopiero co wróciłem z Chła-
niowa, dokąd jeździłem z ekipą, zor-
ganizowaną na moją prośbę przez dok-
tora Gałuszkę. W ciągu dnia prze-
badaliśmy ponad pięćdziesiąt osób
starszych i dziesięcioro dzieci. Wieś jest
biedna, położona pośród trzęsawisk
i mokradel. Tutaj właśnie znalazłem
główne ognisko gorączki błotnej, tak
rozpowszechnionej w całej niemal gmi-
nie. Przyjadę kiedyś w lecie, kiedy
choroba najczęściej wybuchła i osiąga
największe swoje nasilenie, by bliżej
zapoznać się z tą plagą i wyszukać
sposoby skutecznego leczenia. Na ogół
trzeba stwierdzić, że chłopcy odżywają

się fatalnie, a głównym ich pokarmem
jest chleb, kartofle i kiszona kapusta.
Wśród starszych spotkaliśmy chorych
na neurosis cordis, gastritis chronica,
różne dolegliwości pochodzenia reuma-
tycznego i gruźlicę. Trzeba będzie bli-
żej zająć się Chłaniowem, tym bardziej,
że ludzie ci wstąpili do spółdzielni
i zaczynają nowe życie.

9. XII. Mieli koledzy rację twierdząc,
że „wsiałem”. Istotnie, porwała mnie
prowincja i trzyma z niesłabnącą siłą.
Odkrywam tutaj coraz to nowe powaby
i uroki, nie pozwalające na oderwanie
się od tej zapowietrzanej „dziury”, jak-
ka jest bezsprzecznie Ustronie. Już nie
buntuję się, nie narzekam, że nie dano
mi pozostać na klinice dla uzyskania
specjalizacji. Przede mną otwierają się
ogromne możliwości, tak w dziedzinie
praktyki lekarskiej, jak i pracy spo-
łecznej, widoki, o jakich mi się nigdy
nie śniło. Żebym tylko mógł! wszystkie-
mu podołać!...

W sąsiedniej gminie osiadł mój star-
szy kolega szkolny, Leon Witek i tam
robi na gwałt majątek. Przede wszyst-
kim zajmuje się „fabrykowaniem anio-
ków”. Zjeżdżają się do niego kobiety
nawet z odległych miast i wiosek
z prośbą o ratunek. Podobno jest
mistrzem w swoim fachu, nigdy nie
chybia. Poronienia udają mu się z re-
guły i przechodzą bez komplikacji,
a biedne klientki wracają do domu
szczęśliwe, że trafiły w „dobre ręce”.
Za taki niewinny zabieg bierze od 600
do 1000 zł, nie gardząc złotem, obrącz-
kami i biżuterią. Nie wiem, dlaczego
liczni jego znajomi nazywają go „den-
tystą”? „Dla tych zrozpaczonych istot



W TEATRACH PARYSKICH PO OŚMIU LATACH

(Dokończenie ze str. 3)

butach, tylko on ma stare. Zadłużeni po uszy, już nie mogą się wycofać.

I tu podobnie jak w sztukach Ionesco jest wyraźne przejawienie, zamierzona deformacja obrazu miasteczka, a jednak trzeba stwierdzić, że autor prawdziwie wyraził okrutną bezwzględność i drapieżność ludzi w walce o pieniądź. Siłne wrażenie wywołuje zakodzenie sztuki — sąd nad Illem i wykonanie wyroku.

Zespoły młodych artystów, którzy nigdy nie brak w Paryżu, sięgają często do tekstów poetyckich. W teatrzyku du Tertre na Montmartre (w dawnym Moulin de la Galette) wystawiono ostanio fantazję poetycką „Hamlet i Pierrot” z fragmentów wierszy Laforgue'a. Choć krytyka obala młodych wykonawców zimnym tuszem, warto zanotować ich zapał w poszukiwaniu świeżych form poetyckiej recytacji.

Młodych aktorów, muzyków, malarzy było bardzo wielu na przedstawieniach sztuk Bertolta Brechta, w wykonaniu Berliner Ensemble i teatru z Bochum na scenie Teatru Narodów, otwartej pod koniec marca. „Matka

Courage”, „Galileusz” i „Opera za trzy grosze” — to spektakle kontrastowo odmienne od wszystkiego, co ogląda się na scenach Paryża. Ta odmienność jest atrakcyjna dla paryskiej publiczności, która interesuje się żywo teatrem Brechta, choć nie zawsze rozumie jego ideową żarliwość.

Niepokój, zaciekawienie, chęć poznania twórczości innych narodów charakteryzują Francuzów i decydują o tym, że Paryż jest rozpaloną w dyskusjach artystycznych kuźnią nowych form. Zdumiewająco odporni na obce wpływy Francuzi potrafią jednak przyswajać sobie, wchłaniać cenne wartości innych kultur, mądrze dobierając źródła inspiracji.

A jednocześnie z godnym podziwu szacunkiem dla własnych tradycji artystycznych na sędziwej scenie Komedii Francuskiej kultywują swój teatr klasyczny, na którym od paru stuleci wszystkie pokolenia Francuzów uczą się pięknego języka i dobrego smaku.

Zofia Karczevska-Markiewicz



Z DALEKA O BLISKIM

ARTYKUŁ opublikowany w La Revue des Deux Mondes w związku z setną rocznicą śmierci Alfreda de Musset zawiera ciekawe szczegóły dotyczące dwudziestoletniej, ściśle współpracy poety z tym piśmie. Tu ukazały się po raz pierwszy prawie wszystkie wiersze Musseta, jego nowele, „komedie i przysłówia”. W okresie, kiedy ogół czytelników nie dostrzegł zalet finezyjnego dialogu „Kaprysów Marlianny” czy „Fantazja”, a drugorzędny powieściopisarz Juliusz Sandeau nie zaważał się orzec w prasie, iż „pan de Musset jest poetą miernym”, redaktor „Revue...” odważnie zapowiada druk „Spowiedzi dziecięcia wieku”, mówiąc m. in.: „Opinia publiczna nie przyznała jeszcze p. Alfredowi de Musset rangi, na jaką zasługuje. Mamy nadzieję, że nowy utwór pozwoli lepiej ocenić ten subelny i szlachetny talent”. Redaktorem zastępującym na uznanie potomnych był literat Franciszek Buloz.

T-WO Decca nagrało na płyty wyrobiony melodramat Alfonsa Daudet „Arleżanka”, który jest autorską inscenizacją jednego z opowiadań wchodzących w skład zbioru „Les Lettres de mon moulin”. Uroku audycji dodaje słynna muzyka Bizeta. Nie zdobi jej natomiast pewien groteskowy pomysł obecnych realizatorów, słusznie wyszydzony przez autora notatki w Theatre World, a mianowicie: w końcowej części nagrania rozlega się nagłe dźwięki dzisiejszej paryskiej trąbki samochodowej, zaskakujący nieco konsumentów słuchowiska, którego akcja rozgrywa się w XIX-wiecznej Prowansji. Tak się niekiedy poszukuje nowoczesności!

MIESIĘCZNIK Opera drukuje w majowym numerze obszerny artykuł o znakomitym śpiewaku włoskim Mattia Battistini, którego triumfy na scenach całego świata pamiętają jeszcze najstarsi z żyjących melomanów. Wspomnienie angielskiego pisma są nieco spóźnione, albowiem stulecie urodzin króla barytonów przypadło na luty ub. r.; bardziej jednak zasmucające jest całkowite pominięcie tej rocznicy w naszych piśmie kulturalnych, zwłaszcza że Battistini przyjeżdżał swego czasu do Polski rokrocznie (stał w Hotelu Brühla). Niechże przynajmniej Polskie Radio zainteresuje się bliżej bogatą płytotką Battistini, by stała wielkiego artysty nie znikła u nas jak „niegdysiejsze śniegi”.

NA zdjęciu z filmu „Kanał” opublikowanym w Les Lettres Francaises (nr 671) rozpoznaliśmy z satysfakcją aktora lubelskiego Teatru im. J. Osterwy, Stanisława Mikulskiego. Szkoda tylko, że brakowało przy tym jego nazwiska. Artysta jest wrogiem anonimowości.

CIEKAWYM przyczynkiem do studiów nad psychologią twórczości jest casus kompozytora francuskiego Gustawa Charpentiera, który, jak gdyby przytoczony wybitnym sukcesem swej opery „Luiza”, przestał oddawać dalsze utwory do użytku publicznego z obawy, że nie dorównają temu arcydziełu. La Scala przynosi wiadomość, iż obecnie, w związku z pierwszą rocznicą śmierci G. Charpentiera, komitet czuwający nad jego spuścizną przystąpił do badania utworów, które utalentowany kompozytor trzymał od wielu lat w ukryciu, poddając je próbie czasu ze skromnością, jaka nie znalazłaby dzisiaj wielu naśladowców.

TYGODNIK młodzieży komunistycznej L'Avant-Garde rozpoczął dyskusję o stanie obecnym i o przyszłości współczesnej pieśni francuskiej. Świerdząc, że w r. 1956 zarejestrowano prawo autorskie do przeszło 40 tysięcy utworów tego rodzaju, jedna z wypowiedzi sygnalizuje zarazem wzmożenie się ducha merkantylizmu, a także obcych wpływów prowadzących do zerwania z narodową tradycją poetycką i wokalną. Znamy ten ból.

WEDŁUG informacji posiadanych przez włoskie czasopismo Il Dramma, przedsiębiorcy teatralni z Broadwayu, którzy wzięli w pacht słynny „Pamiętnik Anny Frank”, zarobili już na tragicznej historii żydowskiej dziewczyny przeszło półtora miliona dolarów. Amerykański literat i wydawca Levin zarzuca im z gorczyca, iż handlując dziełem, które nie powinno być przedmiotem spekulacji. Należałoby podziwiać szlachetną postawę moralną Levina, gdyby nie to, że procesuje się on właśnie z owymi impresariami i z ojcem Anny o prawo do eksploatacji teatralnej jej „Pamiętnika”. Tamejszy „Zaika” ma też nie lada kłopoty z „brudnymi rękami”!

m. b.-r.

ryzykują wolność” — powiedział do mnie podczas naszego spotkania w Chłaniowcu. Jest wytwornie ubrany, pali najlepsze papierosy i zachowuje się jak prawdziwy bohater. „A ty?” zapytał, mierząc mnie od stóp do głów chłodnym przeszywającym spojrzeniem. — „Prawda! Pracujesz w Ośrodku, myślisz o Izbie Porodowej. Czy sądzisz, że to się opłaca? Przypuszczałem kiedyś, że jesteś większym realistą. Grunt to fors! A zresztą moi rodzice głodowali, żeby mi ułatwić studia!” Rozmowa ta zgasiła na chwilę mój zapał, bo trzeba przyznać, że to nie tylko on tak sobie ułożył życie. W sąsiedztwie mam innego kolegę, który po skończeniu studiów dobrowolnie wyjechał na wieś, by móc bezkarnie robić interesy. Ten zajął się praktyką. Nie stara się nawet o Ośrodek, bo to wiązałoby mu ręce. Chce zarobić, wyeksplloatować dyplom do ostatnich granic. Wprawdzie moje uposażenie jest pod zdechłym Azorkiem, trudno mi związać koniec z końcem, ale nie pójdę śladem tamtych.

10. XII. Jutro jadę na zjazd lekarzy do Jarowa. Program tej ważnej konferencji jest dość dziwny. Obejmuje: „Rozwój służby zdrowia w Polsce Ludowej”, „Choroby oczu na wsi”, „Najczęstsze spotykane schorzenia skóry, w związku z zawodem rolnika” itp. Ale ani jednym słowem nie wspomniano o zagadnieniach takich, jak trudności w pracy lekarza na prowincji, o niedzielnym uposażeniu, braku odpowiednich leków czy słabym zaopatrzeniu ośrodków wiejskich w sprzęt i narzędzia. A jakąż to bolączką jest ciasnota lokalowa, która staje się plagą w skali ogólnokrajowej? I co nam da taki zjazd? Trochę wylanej wody?

Cieszę się, że pomyśl mój przynosi już rezultaty. Po dniu masowego badania dzieci, do Ośrodka zgłasza się coraz więcej ludzi potrzebujących pomocy. Często wyjeżdżam w teren, a kiedy wracam do Ustronia, już czeka na mnie kupa pacjentów. Jeden prosi o zszycie rany, drugi o lekarstwo na kaszel, a jeszcze inny o obejrzenie chorego niemowlęcia. Zjętą tą pracą i chciałbym wszystkich obsłużyć.

12. XII. Tak, jak przewidziałem, zjazd odbył się w nastroju więcej niż sennym. Zadne dyskusji, żadnych pytań. Tylko mądre profesorskie wykłady. Znużony dowlokłem się do domu, przyrzekając sobie, że więcej już na takie konferencje nie pojedę. Razem ze mną wróciła moja stara, codzienna bieda.

13. XII. Była u mnie Kasia. Przyszła jak zawsze z nastaniem zmrzoku, z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Jest

taka piękna, taka zachwycająca.... Prosiła, siedząc na moich kolanach, bym kupił jej złoty medalion, taki jaki nosi pani Jolanta, bo chce tam zamknąć moje zdjęcie. Uśmiełem się z tej propozycji, ale dziewczyna jest naprawdę zakochana. Trzeba będzie jej ofiarować ładny, niedrogi pierścionek, najlepiej z rubinem. Widziałem coś podobnego u jubilera w Jarowie. Dotąd jeszcze czuję ciepło jej czerstwego ciała, na wargach mam smak pocałunków.

20. XII. Zgłosił się do mnie Jan Maciąg. Ten, u którego niedawno wykryłem ulcus ventriculi. Jest żywszy, pełen nowych sił i zapału. Przyszedł mi powiedzieć, że czuje się lepiej. W dalszym ciągu stosuje się do moich rad i wskazówek. Zbadałem go i przepisałem nowe leki. Istotnie poprawa jest zadziwiająca.

21. XII. I znów Kasia.

27. XII. Na Boże Narodzenie wybrałem się w swoje rodzinne strony. To wielki szmat drogi, z górą dwanaście godzin jazdy. Ale chciałem odwiedzić ojca, samotnie żyjącego za miastem i nadal pracującego w na pół zawalanej kuźni. Dom nasz wydał mi się dziwnie brzydki, mały, pokoje urządzone z prostotą. Sad zestarzał się, wysechł, a z gołębnika nie pozostało nawet śladu. Obojętnie minąłem naszą „budę”, gdzie przed laty przeżyłem tak wiele. W oknach nie spostrzegłem nawet śladu życia. Gimnazjum wyglądało jak smutne emmentaryzko. Ulice mogły przestraszyć swoim brudem i brakiem wszelkiego porządku. Trudno mi dzisiaj uwierzyć, że tutaj wychowałem się i wyrosłem.

Ojciec zmienił się nie do poznania. Posiwał, pochylił się, zgarbacił. Zaw sze mnie dziwi, jak można uporać się z ciężkim, kowalskim młotem? Na mój widok uśmiechnął się, a w oczach zakręciły mu się łzy, które szybko wytarł. Był zaskoczony moim przyjazdem, ale bardzo się ucieszył. W domu gospodaruje stryjenka. Ze zdziwieniem słuchałem, jak pięknie zamurzy. „Jesce i mnie Bóg pozwolił, zem cię zobaczyć mogła” — powiedziała do mnie no powitanie. — „Aleś wyrósł, ojej. Cłowiek zyje, zyje i już go ni mo, a mnie jakoś dopisuje zdrowie. Mom cheba ze siedemdziesiąt lat. To kawał życia, ale trzymam się nico. Wis, Adaś, niedawno ocieliła nam się Jaska. Jest tera i mleka pod dostatkiem i chleba tez krzyne. A jakże. Jesce by i trzeci się przeżył”. — Staruszka dreptała po izbie, ładowała wigilję. Chciała mnie ugościć. Dopiero w świąteczny wieczór zapachniało przeszłością. Przy opłatku poplakaliśmy się wszyscy, bo stryjenka

wspomniała zmarłą matkę. I ojciec płakał. Wolno, w milczeniu wycierał białe wąsy, chrząkał, by stłumić łzy, cisznąc się do gardła. Na stole leżało siano, było masę tradycyjnych potraw i po pokojach błąkał się aromat smażonego oleju i racuchów. Potem opowiedziałem im trochę o sobie, lecz słowa moje trafiały w próżnię. Na drugi dzień opuściłem rodzinne miasto. Czulem się tutaj zupełnie obco, jak bym tu nigdy a nigdy nie mieszkał.

12. I. Jestem coraz bardziej zajęty Dniem i nocą wzywają mnie do chorych potrzebujących szybkiej pomocy. Już teraz mogę stwierdzić, że medycyna to twarda i ciężka służba. Przypominają mi się słowa mojego profesora z Akademii Medycznej, który powtarzał studentom: „Idźcie, moi drodzy, przede wszystkim na wieś. Bo tam jestcieście w tej chwili najpotrzebniejsi. Wytrąćcie z rąk berło zabobonowi i ciemności. Służcie człowiekowi!”

Józef Nikodem Kłosowski

PRZEMILI LUDZIE

ZOFIA WYRWA

A swoją drogą, gdy się ma wielu przyjaciół, człowiek nigdy nie będzie skazany na samotność i zapomnienie, choćby nawet był tak niepozorny jak ja.

Siedzę sobie, na przykład, w kawiarni, gdzieś w zacisznym kąciuku i piszę pilny artykuł. Dookoła ścisk, wszystkie stoliki i krzesła zajęte, nawet te przyniesione zza bufetu czy z kuchni, bo w pewnych godzinach zawsze tutaj przepelnienie i tłumy zawiedzionych stoją przy drzwiach pilnie śledząc, czy ktoś nie ma zamiaru pisać. A ja jestem zadowolona, że mam kąciuk, stolik, krzesło, jest mi dobrze i dobrze mi się pisać. Na chwilę podnoszę głowę, żeby spojrzeć na tłok przy drzwiach i utrwalić swe przyjemne zadowolenie, gdy nagle widzę sunącego prosto do mnie pana Bronisława. Jego uśmiech jest w tej chwili tak samo różowy, jak on cały, w ręku triumfalnie dźwiga jakiś taburecik. Siada przy moim stoliku i pyta uprzejmie, co nowego u mnie, choć przecież wczoraj, a tej samej porze i w tych samych okolicznościach pytał o to samo.

Nie zdziżyłam jeszcze odpowiedzieć na miłe pytanie choćby uśmiechem, gdy spomiędzy naloku ludzi, stolików i krzesel wyłania się pani Danuta.

— Można do państwa?

— Prosimy bardzo — odpowiada uprzejmie pan Bronisław za siebie i za mnie.

Patrzę na szczątki mej samotności: papier i pióro. Trzeba to schować, bo przecież jeśli przyjaciele znaleźli mnie w tym ledwie widocznym kąciuku, to z pewnością zależy im na rozmowie ze mną.

— Niech pani sobie nie przeszkadza — mówi miłym głosem pani Danuta.

— Nie, nie... Ja sobie naprawdę nie przeszkadzam — odpowiadam grzecznie.

— O-o-o! — woła pan Bronisław — Idźcie nasz Onuły!

Pan Onuły uśmiecha się sympatycznie i przystawiając akurat zwolnione obok krzesło, nieśmiało pyta, czy może.

— Oczywiście, nawet trzeba — zaprasza pani Danuta.

Ale już po chwili macha ręką w stronę pana Walentego.

— Właśnie czekamy na pana... — dodaje różowo pan Bronisław.

Więc pan Walenty wita się zapytując, czy nie przeszkadza przypadkiem...

— Och, skądże znowu! — wołają wszyscy (bez mnie).

A potem już nie bardzo wiem, co kto mówi i kto kogo zaprasza do następnego (!) stolika, bo wszyscy są przemili, przeuprzejmi i przedzadowoleni...

P.S. Artykuł piszę w domu.

P.P.S. Jest już czwartą rano i jestem tak zmęczona, że nie mogę poprawić błędów przy imionach.

Misjonarze w kraju Buszmenów

(Dokończenie ze str. 3)

„lubelskiego” reportażu jest problem polowania z nagonką na tzw. cywilizację „Przekroju”. Miejscem łowów stał się przypadkowo macek lubelski.

Młodzi, zapaleny myśliwi mimo rzetelnego wysiłku i rzetelnej zapewne zaprawy przy nocnym ognisku na lubelskim biwaku, z cywilizacją „Przekroju” w dziewczym, prowincjonalnym interiorze nie spotkali się. Upolowali natomiast innego drapieżnika, głównego pomocnika miejscowej fauny kulturalnej: marmyjno-kościelną kulturę powiatową. Lupa godny myśliwych!

Utalentowani tropiciele szmiry tudzież procesyjno - plebańskiego chrześcijaństwa, poza barwnym, plastycznym opisem swych myśliwych przygod w lubelskim ostepie, udostępnili szerokim rzeszom czytelników „Nowej Kultury” nieoszacowany materiał bystrych uwag, cennych spostrzeżeń i rewelacyjnych wniosków dotyczących bezpośrednio gleby, podglebia, flory oraz cywilizacyjno-kulturalnej fauny naszego rodzinnego partycularza.

Poznałszy wreszcie wstrząsającą prawdę trzech naczelnych konfliktów, które nurtują obecnie stabilną na pozór Lubelszczyznę. Konflikt chełmskiego PDK z chełmskim Klubem Ineligencji, konflikt lubelskiej Operetki z Domem Oficera oraz jawną wojnę „odwil-

zowego” Kuriera z „zamordystycznym” Sztandarem. W tym ostatnim konflikcie najgorsze pono, iż gazety te istnieć obok siebie nie chcą, a w śmiertelnych bojach toczonych bez przerwy na tzw. łamach używają wyłącznie amunicji ideologicznej.

Sympatyczni warszawscy goście obnażyli również przed lubliniakami wstrząsającą prawdę o lubelskiej „Estradzie”. Ze z premedytacją i handlowym cynizmem zorganizowała wybory „miss” (przy współudziale naiwnych i pełnych dobrej woli dziennikarzy), by podreperować swój budżet; że trzy teatralne zespoły teje „Estrady” grają „bez przerwy i bez powodzenia w kółko” tylko dwie sztuki („Szczęście Franca” i „Falszywe zwierzenia”); że autorem „Falszywych zwierzeń” jest pani Marie Vougt; że wreszcie dyrektorzy „Estrady” zorganizować postanowili czwarty zespół złożony z samych „miss” itd.

Dalsze rewelacje dotyczą prywatnego życia samych „miss” (handel żywym towarem), tajemniczego telefonu z centrali, obłąkania budynku GRN w Działoszycach Krasnystawskich i zamienienie tegoż na kaplicę, wreszcie słynnego buntu młodzieży chełmskiej przeciw tanecznym podwieczorkom w PDK.

Genialni ludzie ci stołeczni publicyści! Krótka turystyczna wycieczka, a ma-

teriału na trzy powieści (kryminalną, obyczajową i egzotyczną). Polowanie połączone z misją kulturalną w kraju lubelskich Buszmenów udało się! Chroń nas Boże od stołecznych przyjaciół dziennikarzy z nie rozładowanym kompleksem prowincji. Z wrogami poradziły sobie sami!

Zbigniew Jakubik

Nowe książki

BRUNO JASIEŃSKI:
„PALĘ PARYŻ”

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” przystąpiła do wydawania „Biblioteki XX-lecia”. W serii tej mają ukazać się najgłośniejsze pozycje okresu międzywojennego: Maril Kuncewiczowej „Cudzoziemka”, Maril Ukniewskiej „Strachy”, Wańkowicza „Szczepińskie lata”, oraz późniejsze utwory W. Gombrowicza „Transatlantyk” i „Słuby”. Na pierwszy ogień poszła powieść Brunona Jasińskiego „Palę Paryż”.

Bruno Jasiński w 1925 r. wyemigrował do Francji, nie mogąc swobodnie tworzyć w ojczyźnie. Były to czasy największego ucisku sanacyjnego i policyjnych prześladowań. Osiadłszy w Paryżu poznał pamflet Paul Moranda pt. „Palę Moskwę”. Utwór ten skłonił Jasińskiego do gwałtownej repiki o tytule nawiązującym do tego, ale brzmiącym nieco odmiennie: „Palę Paryż”. Jest to bezspornie dzieło fantastyczne. Fikcja łączy się tutaj z rzeczywistością. Wizjonerstwo spleta się z brutalnym realizmem. Z książki bije nienawiść do świata moźnych, których rządy skończą się potworną, wręcz apokaliptyczną katastrofą. Ale przede wszystkim z kart tej pięknej książki przemawia gorąca wiara w człowieka, wiara w proletariata.

„Palę Paryż” czytany po trzydziestu latach wywiera niemal takie wrażenie jak niegdyś. Przykuwa tempem akcji i dramatycznością sytuacji. Jest to książka, która długo pozostaje w pamięci. Kiedyś budziła liczne sprzeciwy i zachwyty. Dziś pozostaje głęboki podziw dla odwagi i talentu autora.

HELENA DUNINÓWNA:
„NIESPODZIANKI WARSZAWSKIE”

Z prostotą, ale jednocześnie z prawdziwym zjawstwem wprowadza nas Duninówna w labirynt warszawskich zaułków, ulic, domów i magnackich pałaców w dobie Oświecenia. Z księgarni pana Grolla wędrujemy do letniej siedziby księżny Izabeli Czartoryskiej, mieszczącej się na Powązkach i pełnej idyllicznych chat, korynckich kolumn, gajów, przystrojonych posągami bogów, kwiatów i wodospadów. Stamtąd idziemy dalej, by zatrzymać się w „ogrodzie na Foksalu”, a wreszcie wstąpić do teatru Wojciecha Bogusławskiego. Bierzymy udział w uroczystej premierze „Powrotu syna do domu” pióra J.U. Niemcewicza, która stała się wielką manifestacją narodową i wywołała protest przedstawicieli obozu reakcji i zacofania, posła Suchorzewskiego. Ale na tym nie koniec. Każde następne przedstawienie było plomienym manifestem, skierowanym ze sceny do patriotycznej stolicy. Taką rolę odegrała sztuka Wybickiego pt. „Szlacheć mieszczańskim”, oraz „Krajkowicy i górale” Bogusławskiego. Teatrowi z epoki saskiej i stanisławowskiej poświęca Duninówna w swojej książce sporo miejsca.

Nie mniej interesują autorkę dzieje architektury, historia powstania poszczególnych dzielnic Warszawy, nowych pałaców i nowych gmachów. „W mieście Marysieńki Sobieskiej, w Marywilu, zostały położone fundamenty pod gmach teatru, którego projektantem był sławny Włoch Gorazzi”, notuje, „tam znów rośnie w dnia na dzień „Nowa Droga Jerozolimska”. Po 1830 roku zaczął się szybki rozwój Warszawy. Różną budynki urzędów, dworce i kościoły. W dwadzieścia lat później inżynier Marconi rozpoczął budowę instalacji wodociągowej „mających filtrować wodę z Wisły”.

Drugą część „Niespodzianek warszawskich” stanowią sceny i obrazy

stolicy z początków i drugiej połowy dziewiętnastego stulecia, zakończone pełnym humorem „pożegnalnym bukietem”. Te przechadzki po starej Warszawie na pewno zainteresują niejednego czytelnika. „Niespodzianki warszawskie” znajdują doskonale uzupełnienie w piórkowych ilustracjach B. Truchanowskiej.

WITOLD GOMBROWICZ:
FERDYDURKE

PIW wznowił ostatnio głośną książkę W. Gombrowicza pt. *Ferdydurke*. Powieść wyszła w pięknej szacie graficznej, w płóciennym oprawie, wyłożona na dobrym papierze i wkrótce po ukazaniu się znikła z półek księgarskich. Dobrze pamiętamy rozgłos, jaki osiągnęła powieść Gombrowicza w latach, poprzedzających wybuch ostatniej wojny światowej oraz kolosalny wpływ, jaki wywarła na literaturę tamtych czasów. *Ferdydurke* powiązana jest z pierwszą książką W. Gombrowicza, z *Pamiętnikiem z okresu dojrzewania*. Z zainteresowaniem bierzemy do rąk tę pozycję i z przyjemnością stwierdzamy, że *Ferdydurke* nic się nie potarzała, nie nie straciła ze swojego jętkowego uroku i wartości artystycznej. Jest to dzieło na wskroś oryginalne, napisane z rzadkim talentem i śmiałością, choć trudne i wymagające od czytelnika odpowiedniego przygotowania. W nowym wydaniu autor wprowadził szereg zmian. Najobszerniejszą wersję poprawki na kilku innych stronach. Zmiany te były wprowadzone po raz pierwszy w tłumaczeniu na jęz. hiszpański, które ukazało się w Buenos Aires w 1947 r. (Z niecierpliwością oczekujemy zapowiedzianych przez Sp. „Czytelnik” nowych dzieł Gombrowicza, powieści „Transatlantyk” i dramatu „Słuby”. Wyszły one w Paryżu w roku 1954. Szkoda, że „Dziennik”, drukowany od kilku lat w prasie emigracyjnej, nie wyjdzie w wydaniu książkowym).

Jan

Bruno Jasiński — „Palę Paryż”,
„Czytelnik”, 1957.
Helena Duninówna — „Niespodzianki warszawskie”, „Czytelnik”, 1956.
Witold Gombrowicz — „Ferdydurke”,
PIW, 1957.

*odpowiedzi
redakcji*

P. P.

B. A. Jan. w Szczecinie. Zatrzymujemy do ewentualnego wykorzystania w przyszłości „Cyganek”, „Kto to zrobił” i „Fontannę”.

Mar. Budz. w Lublinie. Odsyłamy do szkolnej gazetki ściennej.

Mar. Miel. w Lublinie, Jan Ryb. w Radomiu, Paw. Kam. w Sokolowie Podlaskim, Tadeusz Tom. w Warszawie, St. Matys. w Żelaznej Nowej. Nie skorzystamy.

Autorka wiersza „Napełnienie serca” i „Rzeczywistość” w Karczowie. Odpowiadamy „od serca” — z dwóch słabych wierszy drugi stosunkowo lepszy. Oba nie do druku.

Lech. Jes. w Kraśniku. Cykl „Przed maturą” bardzo nierówny. Szczegółowe fragmenty dość szczęśliwe: w cz. V — pierwsza zwrotka i pierwsza linijka trzeciej strofy; w cz. III — druga zwrotka bez dwóch pierwszych linijek. Ładne: „A na ulicach w kaluż Martwych Morzach śnią, zatopione okręty”. Ale dużo banałów, np. „ślad w białości tonie”, „wiatr skrzydlaty”, „niebyt przejrzysty”, „majowa Fortuna”. Cierpliwości. Przyszłość w pracy.

TEKA. Niestety.

Ber. Sztaj. w Łodzi. Wiersze interesujące. Zatrzymujemy „Szczęście”, i „Nurt”. Ale „kolejka” bardzo długa.

Kakol. Beznadziejne.

W. B. w Warszawie. „Nową Maryję” zamieściliśmy w poprzednim numerze. „Dziewczyna z czasów” do wzięcia.

SPROSTOWANIE

Do n-ru 126 „Kamień” wkładły się błędy w „Liście z Krakowa” J. Kollataja na str. 7:
szp. 1, w. 31 od góry: winno być — „jest to wrażenie”;
szp. 1, w. 12 od dołu: winno być — „Niepogrzebani” Sartre’a”;
szp. 1, w. ostatni: winno być — „postanowili”.

Rysunki w numerze: Tytus Dzieduszycki

O DZIWNYCH LOSACH KSIĄŻKI W POLSCE

(Dokończenie ze str. 2)

dziennikowym skazały „na śmierć” ładnych parę milionów tomów (m. in. nawet książki Meissnera i książki Fiedlera). Ubytek jest więc znaczny. Tymczasem plan pięcioletni przewiduje przyplwy tylko 2 milionów książek. Biblioteki jednak w najlepszym wypadku zdolne będą zakupić około półtora miliona. A reszta? A kiedy uzupełni się ubytek w bibliotekach? Równocześnie księgarstwo woła wielkim głosem, że nie może wykonać planu sprzedaży, że brak kupującego, że napięta struna lada chwila pęknie...

Chyba nie ma wątpliwości, że coś tu nie gra.

Czynnikami urzędowe gorączkowo szukają wyjścia. Do usprawiedliwienia katastrofalnego spadku popytu książek dorzuca się jeszcze jeden argument: współczesne budownictwo mieszkaniowe nie daje czytelnikowi możliwości zakładania bibliotek; na biblioteczkę domową w nowoczesnym „klatkowym” mieszkaniu nie ma... miejsca. Skończyły się też okazjonalne zakupy książek na prezenty imieninowe itp. Po podwyższeniu cen książek bardziej dostępne i bardziej atrakcyjne stały się wyroby... nylonowe

ALE co można zrobić, ażeby jakość ratować książkę? Akcją godną poparcia są zakładane tu i ówdzie Koła Miłośników Książki. No, ale co dalej? A więc: przewiduje się uruchomienie punktów sprzedaży książek przy bibliotekach, a raczej w ramach działalności bibliotek i czytelnik; udzieli się zezwolenia prywatnej inicjatywie na otwieranie wypożyczalni książek, może też pomogą nieco GS-y, aczkolwiek — jak dotąd — niewiele przyczyniły się one do podniesienia zbytu książek na wsi, a raczej były potencjalnym i faktycznym magazynierem remanentów. W szkołach zostaną uruchomione spółdzielnie uczniowskie, które obok zeszytów, ołówków i obsadek sprzedawać będą również książki. Już rozpoczęła się weryfikacja zadań i profili wszystkich wydawnictw, ażeby m. in. wyrugować produkcję szmiry i utrwalić pozycję autora książki, jako jedynego czynnika nadzwanego w produkcji. Odsiewa się „poprawiaczy” i „wycocznik” w wydawnictwach (do końca 1958 r. odsiew obejmie 30% tego rodzaju fachowców wśród personelu). Zwiększy się możliwości produkcyjne wydawnictw pozawar-

szawskich, dotychczas bowiem Warszawa produkowała 90% książek. Specjalnie popierane będą wydawnictwa śląskie, a poza tym zachodnie i morskie, skoncentrowane w Poznaniu. Powróci do życia stare zasłużone wydawnictwo śląskie: „Miarki”. Liczba spółdzielni wydawniczych nie zostanie zmniejszona. Oczekuje się jednak od wydawców pozawarszawskich druku książki, która „pójdzie” w danym terenie. Będzie się dążyło do nakładów prozy w ilości powyżej 30,000 egzemplarzy, gdyż mniejszy nakład daje deficyt. No i wybitnie zwiększy się produkcję druku opakowań, ażeby zmniejszyć deficyt i zapobiec bezrobociu w przemyśle poligraficznym. Dąży się do likwidacji wojewódzkich zarządów księgarstwa na rzecz terenowych zrzeszeń księgarskich; do zmniejszenia procentu księgarzy bez średniego wykształcenia (mamy ich aż 75%), myśli się o umożliwieniu fachowym, tzw. „frontowym” księgarzom, powrotu do sprzedaży, co nie jest łatwe, gdyż „siedzą” oni na wysokich stołkach w aparacie urzędniczym wydawniczo-księgarskim. Projektuje się też podniesienie kwalifikacji zawodowych i warunków bytowych kadr bibliotekarskich. A na tym odcinku stan jest godny pożałowania: 57% bez wykształcenia średniego, 35% z wykształceniem średnim i zaledwie 8% — z wyższym. Warto zaś dodać, że bibliotekarz mający wyższe wykształcenie może zarobić — jak dotąd — aż 740 do 1100 zł miesięcznie.

TRZEBA przyznać, że nie jest to plan mały i niewątpliwie w realizacji musi przynieść poprawę, a może nawet częściowe zażegnanie kryzysu, jeśli dojdzie do pełnej jego realizacji. Czy jednak Ministerstwo Kultury przy najlepszej woli zdoła przełamać antagonizmy interesy poszczególnych urzędów, central, zarządów itp. pozostałości aparatu biurokratycznego, czy zdoła przedrzeć się przez dżunglę przepisów, limitów, instancji itp., itp. — nie wiemy. Przede wszystkim zaś nie wiemy, czy przeciętny nabywca książki będzie mógł liczyć na to, że zmniejszy się antagonizm między jego kieszenią a ceną książki i czy odłożywszy wreszcie ów „gruby” grosz na zakup np. „Nienasyconia” Witkacego, zdoła je kupić w księgarni.

Stefan Wolski